

MARTA GAJERSKA
I MARIOLA DYŃDO

Dziewczyna, z którą się ożenię

– reportaż Pauli Szewczyk

Żony, ale nie w Polsce

MONIKA
TUTAK-GOLL



Jeszcze nie widziałam takiego ślubu. To był jeden z piękniejszych. Wzruszający, wyciekany, pomimo wielu trudności. Panna młoda w białej koronkowej sukience, z białą kokardą w czarnych włosach, z niebiesko-białą wiązanką. I panna młoda w błękitnym garniturze, w białej koszuli. Wyglądały obłędnie i pięknie. Rok temu moja przyjaciółka i jej narzeczona w świetle prawa portugalskiego (a także 30 innych krajów na świecie, w których obowiązuje równość małżeńska) zostały żonami. Nie mogłam tego ślubu zobaczyć w realu, bo narzeczona wzięła go na Maderze. W Polsce nie mogły. Nadal im nie wolno.

Mieszkają w Polsce, są małżeństwem, ale nie mają prawa do wspólnego majątku. Mnożą się także problemy przy wspólnym zakupie mieszkania. Chcą odebrać coś na pocztę za żonę? Muszą mieć upoważnienie. Jeśli partnerka trafi do szpitala, mogą mieć problem z dostępem do informacji. Ile razy słyszałam opowieści koleżanek, które są parą: „Nic nie chciały powiedzieć, usłyszałam, że nie jestem rodziną”. To, co w sformalizowanych związkach da się załatwić od ręki, tu wymaga urzędowej gimnastyki.

Prawo nie traktuje wszystkich równo. Nie w Polsce. Przez lata nie było tu szansy na zmianę

Prawo nie traktuje wszystkich równo. Nie w Polsce, w której przez ostatnie lata nie było szansy na jakąkolwiek zmianę. Ale przez nami wybory, nowe otwarcie. Czas na praworządność.

Pamiętam rozmowę z Ygą Kostrzewą, działaczką na rzecz osób LGBT+, w „Wysokich Obcasach”. Mówiła, że w krajach, gdzie pary jedнопłciowe mogą wziąć ślub, społeczna akceptacja dla nich spektakularnie wzrastała. W tej chwili Polska jest uznawana za jeden z najbardziej homofobicznych i transfobicznych krajów w Europie. Gorzej wypadają tylko Białoruś, Rosja, Armenia, Turcja i Azerbejdżan.

Małżeństwa jedнопłciowe nie są żadnym przywilejem. Przywilejem byłoby, gdyby nie płaciły podatków, jak na przykład Kościół – powiedział kiedyś Ricky Gervais, brytyjski reżyser i komik. Świetnie to ujął. Małżeństwo jedнопłciowe to żaden przywilej, to równouprawnienie. A miłość nie wyklucza. ♦

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



„WYSOKIE OBCASY EXTRA”

Jak się kochamy?

Zadęrczona artystka, odważna feministka czy specjalistka od budowania wizerunku. Bohaterką okładki jest Frida Kahlo. Zastanawiamy się, kim była naprawdę dzisiejsza ikona kultury. Tematem numeru jest współczesna miłość. Ponieważ miłość należy zdefiniować na nowo, szukamy odpowiedzi na pytanie: jak się dziś kochamy? O swoich związkach opowiadają Maciej Sierczyk, Agnieszka Graff i Michał Piróg. Edukator seksualna dr Alicja Długolecka tłumaczy, że granice naszej seksualności się rozmywają, a orientacja to często kwestia emocji. Wydanie dostępne również z kosmetykiem w prezencie. Egzemplarz z darmową dostawą zamówisz na prenumerata24.pl

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Marta Rozenbajgier,
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Paweł Bajer,
Łukasz Irzyk,
Mariusz Rosa

PRODUKCJA:
Dorota Jezerska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk,
Anna J. Dudek, Magdalena Keler,
Agnieszka Mularczyk, Katarzyna
Seller, Magdalena Stroka-Felicka,
Paula Szewczyk, Natalia Waloch,
Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Aleksandra Mijakoska-Siemion,
Anna Woźniak

KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska

SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Bartosz Hojka

WYDAWCA:
Agora SA
BUSINESS OWNER:
Katarzyna Owczarek
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTORKA BIURA REKLAMY:
Joanna Kwas
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:
Michał Bauer

SPECJALISTI DS. PROMOCJI:
Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I DRUK:
Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 9, 35, 40 zamieszczony
jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcaso” nr 24s (1243)

NA OKŁADCE:
MARTA GAJERSKA
I MARIOLA DYNDO
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL





Badaczka miasta

ZACHWYT TYGODNIA

Zuzanna Kuffel o Joannie Kusiak



Kto dziś wynajmuje mieszkanie w dużym mieście, powinien trzymać kciuki za jej research. Dr Joanna Kusiak, polska socjolożka pracująca na Uniwersytecie w Cambridge, prowadzi interdyscyplinarne badania nad tematyką miejską. Choć zawsze ją do niej ciągnęło, wiedziała, że sama teoria nie przyniesie zmiany. Zainteresowanie problemami rynku mieszkaniowego wiąże się z jej osobistą historią.

Po liceum przyjechała do stolicy na studia. Nie było jej stać na wynajem. Wyjechała do Berlina na stypendium naukowe i tam została, czując, że regulowany rynek najmu i zabezpieczenia społeczne dają jej wolność, by stać się tym, kim chce. Stała się badaczką-aktywistką, która bierze się tylko do tematów społecznie istotnych. Doktorat napisała z miłości do dysfunkcyjnej Warszawy, pokazując porządku zysku i władzy,

kryjące się za tym, co nazywamy chaosem urbanistycznym. Teraz na tapet bierze Berlin. Właśnie otrzymała prestiżową nagrodę Nine Dots Prize – 100 tys. dolarów oraz umowę na publikację książki w Cambridge University Press. W 2021 r. była jedną z rzeczniczek ruchu Deutsche Wohnen & Co. enteignen, szerokiej inicjatywy społecznej, która w referendum zdecydowała, by wywłasz-

czyć spółki spekulujące mieszkaniami na rynkach finansowych. Pisze o rewolucji przez prawo, nie wbrew prawu, bo skoro władza przez prawo przemyca społecznie szkodliwe rozwiązania, aktywiści mogą znaleźć w nim szansę na lepszą przyszłość dla wszystkich. Kusiak tej przyszłości szuka i uważa, że najlepszym sposobem na demokrację jest wymaganie od systemu, by dotrzymywał swoich obietnic. ♦



Joanna Kusiak – socjolożka pracująca na wydziale geografii w King's College na Uniwersytecie w Cambridge. Autorka książki „Chaos Warszawa. Porządku przestrzenne polskiego kapitalizmu”. Laureatka nagrody Nine Dots Prize

Zuzanna Kuffel – dziennikarka „Wysokich Obcasów”, pisze o społeczeństwie, zdrowiu, kulturze

MARTA GAJERSKA
I MARIOLA DYŃDO

Zero *wstydu*

U nas w okolicy wszyscy wiedzą. Kiedyś znajoma pomyliła ulicę, spytała sąsiadów, gdzie mieszka Marta i Mariola. „Te dwie lesbijki? To tam!”



TEKST PAULA SZEWCZYK
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

n

Najpierw - kim jestem, jak żyję. Potem - co robię dla innych, jak ich traktuję. Na końcu - z kim śpię. Tak właśnie siebie po kolei opisuję. Lesbijką jestem na ostatnim miejscu, bo to określenie w ogóle mnie nie definiuje.

Pytasz, skąd to się o sobie wie? Przychodzi nieoczekiwanie, na przykład gdy masz 12 lat, siedzisz przed telewizorem, oglądasz „Z Archiwum X”. Na ekranie agent Mulder i agentka Scully i podczas gdy wszystkie twoje koleżanki zachwycają się Davidem Duchovnym, ty przed snem myślisz tylko o Gillian Anderson. Albo „Foxfire” z Angeliną Jolie, gdzie wygląda na chłopczynę. Patrzysz i myślisz sobie: ale fajna, mój typ!

MARIOŁA: WSZYSTKIE SĄ PRAWDZIWE

Wiesz, że często słyszę, że wszystkie lesbijki mają krótkie włosy postawione wysoko i wygolone na bokach? A ty chcesz o stereotypach rozmawiać? To akurat jeden z nich. My, jak widzisz, obie mamy takie fryzury. Nie wiem, jak inne dziewczyny, u nas to wynika z wygody: mamy włosy, przy których mało trzeba robić. Gołę głowę sama maszynką w domu, niektórzy myślą, że jestem fryzjerką. Niebieski? Przez przypadek, kiedyś miałam blond i dałam za dużo płukanki, patrzę, niebieskie mi się zrobiły. Stwierdziłam: zarąbicie! Więc to kwestia indywidualnego wyboru, a nie żadna ścieżka, którą wybiera każda z nas, żeby być prawdziwą lesbijką.

Nie śmieję się! Już to raz słyszałyśmy. Polecałyśmy na Instagramie gadzety erotyczne, niektóre miały falliczne kształty. Jedna dziewczyna napisała nam, że nie możemy być prawdziwymi lesbijkami, bo prawdziwe nie używają gadżetów, które kształtem przypominają penis. Mnie ów penis nie jest do niczego potrzebny, ja po prostu lubię mieć w łóżku wolne ręce.

Oczywiście, że słyszałam, że związki tej samej płci są jałowe, przelotne i krótkie. To pomyśl, że my jesteśmy z Martą już 16 lat.

MARTA: JESTEŚ MOIM KEVINEM

Nie oglądałam „Z Archiwum X”. Pierwszą dziewczynę miałam jako 18- czy 19-latkę, czyli dosyć późno. Chyba dlatego, że biłam się z myślami. W podstawówce, pamiętam, kochałam się w nauczycielkach, a koleżanki w nauczycielach, więc ja o swoich zauroczeniach nie mówiłam głośno. Dojście do wniosku, że podobają ci się dziewczyny, to raczej proces odbywający się w samotności. Nie dzielisz się, bo widzisz, że wokół każdy jest hetero. Pamiętam też grupkę dziewczyn z klasy, czasy Backstreet Boys. Każdej podobał się oczywiście Nick, a mnie w sumie trochę Kevin. I dziś jak patrzę na Mariołę, to widzę ten typ: ciemne oczy, ciemne włosy, smukła twarz. Jest takim moim Kevinem!

Nie chodziłam nigdy z facetem, nie całowałam się z facetem ani z żadnym nie spałam. Jakoś nie spróbowałam, nie potrzebowałam się przekonać.

MARIOŁA: Z TĄ DZIEWCZYNĄ SIĘ OŻENIĘ

Dawno, dawno temu w Katowicach istniała tęcza kawiarnia, głównie przychodziły do niej lesbijki. Miałam 23 lata. Przyszłam

na kawę z dziewczyną poznaną w internecie. Marta pracowała przy barze, ale wtedy akurat miała wolne. Siedziała na kanapie.

To nie był Marty dobry dzień. Zobaczyłam jej twarz pełną emocji. Złość, smutek, zamyślenie. Spodobało mi się, że je pokazywała, nie trzymała w sobie. Ta dziewczyna, z którą przyszłam, mnie trochę bajerowała, powiedziałam jej wtedy: „Sorry, ale nic z tego nie będzie, bo mi się podoba ta dziewczyna przy barze”. Dopiliśmy kawę i tyle. Wieczorem kilka dni później impreza. Właśnie komuś o Marcie opowiadałam, jak Marta weszła do klubu. Śmieję się, ale ja wiedziałam wtedy, że to będzie dziewczyna, z którą się ożenię.

MARTA: ZATKAŁO MNIE NA 10 LAT

Mariola - 23 lata, ja - 24. Jakie byłyśmy młode! Od razu ją zauważyłam, była dość charakterystyczna, miała podobną fryzurę jak teraz, może bardziej irokez, nie taka wygolona. Miała na sobie skórzane spodnie, z boku łańcuch, ja - białą bluzę z kapturem, słuchałam wtedy popu. Byłam akurat po rozstaniu, ale dobrze mi się z Mariolą rozmawiało. Nad ranem z tej imprezy poszliśmy do kawiarni. Otworzyliśmy, żeby posiedzieć przed otwarciem, szefowa chyba do dziś o tym nie wie, ale może się nie pogniewa, jak przeczyta. I po dwóch tygodniach zaczęłyśmy się regularnie spotykać. Ja mieszkałam wtedy w Katowicach, Mariola - u siebie w Tarnowskich Górach, więc wynajęłyśmy razem mieszkanie. Ale długo nie mówiłam o tym swojej mamie.

Wszystko przez Ewę Drzyzgę. Miałam jakieś 19 lat, leca „Rozmowy w toku”. Do programu zaproszono kolorowe osoby, chyba same homoseksualne kobiety, nie pamiętam dokładnie. Ale to było prawie 20 lat temu, to sobie wyobraź. Siedzimy w salonie, oglądamy, a mama na to: „Jak tak można?!”. I jeszcze: „Jak ty byłabyś lesbijką, to ja się do ciebie nie odezwę, urwę kontakt”. Zapadła cisza, mnie po prostu zatkało na kolejne 10 lat.

To Mariola napierała: „Powiedz jej. Przecież nie wyrzuci cię z domu, bo z nią dawno nie mieszkaś”. A ja ciągle opowiadałam, że Mariola to koleżanka, chociaż byłyśmy razem już ładnych kilka lat. Nie wiem, dlaczego tak długo kłamałam. Chyba bałam się, że ją rozczaruję.

Wreszcie umówiłyśmy się z Mariolą: „Dobra, dziś mówimy”. Spędziłyśmy z moją mamą popołudnie, rosółek, ciasteczko, kawka. I pierwsza godzina, gadamy, ale na temat mojej orientacji milczę. Druga godzina, gadamy, milczę. Mija trzecia, czwarta, piąta, już się żegnamy: „Pa, pa, pa, do zobaczenia”, wyszłyśmy. Mariola w samochodzie wściekła! Przyjechałyśmy do domu, mówi: „Bierz telefon, dzwoń!”. Zdenerwowana wybieram numer mamy, odbiera. „Wiesz, muszę ci coś powiedzieć”. Ona na to: „Spoko, domyśliłam się”.

MARIOŁA: NAJWYŻEJ MNIE POBIJĄ

Rozumiesz? Tyle czasu się Marta do tego zbierała. Tak się bała, a tu nic, świat się nie skończył. Współczuję ludziom, którzy latami żyją z takim ciężarem, obawiają się reakcji. Mam znajomych po 50 lat, którzy do dzisiaj w domu o sobie nie mówią, wstydzą się. My nawet w miejscach publicznych nie wstydzimy się okazywać sobie uczuć. Ostatnio u nas w mieście Marta chce na lody, koniecznie tajske, jej ulubione, ale była do nich ogromna kolejka. Stałam wściekła, bo ludzi na kilometr, więc Marta podeszła blisko mnie, objęła moją twarz dłońmi i pocałowała. Po minach paru osób obok dało się zauważyć, że się im to nie spodobało, ale mnie to nie rusza. Czułość dziewczyn ma być zła? To jak otoczenie ma się z parami tej samej płci oswajać? Nie znormalizujemy naszej obecności w przestrzeni, jak się będziemy chować. Że dla bezpieczeństwa? A w życiu! Najwyżej ktoś mnie pobije, trudno.

Niedawno przyszedł do nas listonosz. Idę w szlafroku do furtki, on mówi: „Polecony dla pani Marty”. To ja, że odbiorę.



MARTA GAJERSKA

(1983) – trenerka personalna, instruktorka siłowni i fitness, masażystka. Jej pasją jest kolarstwo górskie, sztuki walki i sporty wyczynowe. Prezeska Stowarzyszenia Równych Szans „Rainbow”, wspiera dzieci z Kambodży, działa na rzecz przeciwdziałania dyskryminacji

MARIOLA DYŃDO

(1984) – psycholożka biznesu, mentorka, mediatorka i coachka. Zapalona podróżniczka, interesuje się kulturą i historią. Współzałożycielka Stowarzyszenia Równych Szans „Rainbow”, promuje tolerancję i równość. Dziewczyny do znalezienia na Instagramie jako [marta.and.mariola](#)

On na to: „Nie”, ja: „Właśnie, że tak”. „A kim pani niby jest?” – pyta. Mówię: „Zoną”. On zdębiał. „Proszę nie żartować”. „Nie żartuję” – mówię. W końcu mi ten list wydał. Na drugi dzień poszłam na pocztę z awanturą, co to za pracownik, jak my mamy z Martą wszystkie upoważnienia. Pani przeprosiła. Bo u nas w okolicy wszyscy wiedzą. Kiedyś znajoma pomyliła ulicę, spytała sąsiadów, gdzie mieszkają Mariola i Marta. „Te dwie lesbijki? To tam!”

MARTA: OGRÓD, KURY, ŻADNA FILOZOFIA

Fakt, że dzięki Instagramowi jesteśmy dość rozpoznawalne, szczególnie w naszym mieście, które duże nie jest. Nieraz nam ktoś na ulicy powie: „Wy jesteście takimi fajnymi lesbijkami, normalnymi”. I jeszcze, że dzięki nam rozumie, że to osoby jak inne. Wiem, dla kogoś z Warszawy, kto ma tęczowych znajomych, może to taka oczywistość. Ale dla tej pani to jedyna okazja zobaczyć parę jak nasza. My się nie obrażamy, jak nam tak ktoś mówi, bo też nam zależy, żeby ludzie się wyzbyli stereotypów.

Czy w mniejszym mieście jest mi trudniej być z Mariolą? Na co dzień tego nie odczuwam. Raz przyszedł do nas ksiądz po kolędzie, nie chciałam go wpuszczać, ale Mariola mówi: „Mamy nowe obrazy, niech wejdzie, zobaczy, jak mieszkamy”. Wszedł, pyta, czy jesteśmy siostrami. Mariola mówi: „Nie”. On zdziwiony, ale brnie dalej: „To kuzynkami?”. Mariola mówi: „Nie, jesteśmy razem”. On – szok. Chwilę nic nie powiedział, a potem tylko, że pierwszy raz jest w takim domu.

Jeden jedyny raz, kiedy odpuściłyśmy – przesiadka i nocowanie w Dubaju. Miał być pokój z podwójnym łóżkiem, ale były dwa osobne. Mariola tłumaczyła w recepcji, że to pomyłka, ale uznali, że dwie kobiety nie mogą spać razem. Próbowaliśmy przekonać, ale powiedziałam jej: „Daj spokój, bo jeszcze stąd nie wyjedziemy”. Musiałśmy zadbać o bezpieczeństwo, ale i uszanować ich kulturę.

Wiem, że niektórzy myślą, że pary jak nasza to tylko imprezy, zabawa. A my mamy swoje prace, zajęcia, po pracy dom, ogródek i zwierzaki. To jest nasza codzienność: dwa psy, kot, 20 kur, od nich swoje jajka, ozdobna gęś, nasz Filip, i dziesięć owiec, z którymi śpi, bo mu w ich futrze ciepłutko. Dom, w którym mieszkamy, mamy po rodzicach Marioli. Zamieszkałyśmy w nim, gdy jej mama zmarła dziewięć lat temu, a tata przeniósł się do mniejszego. Nasz jest ogromny, samych okien 26, to sobie wyobraź, ile zajmuje posprzątanie. Mieszkamy na 260 metrach, ogród 5 tys. metrów. Wychowanie rolnicze czy mamy? Nie, ale to nie jest jakaś wielka filozofia. Wszystkiego się nauczyłam od Marioli, jej rodzice mieli zwierzęta, uprawiali rośliny, od małego obserwowała, co jak robić. Poza tym w razie czego jest internet!

MARIOLA: WOLNE NA KAMBODŻĘ

Z wykształcenia jestem psychologiem biznesu, coachem i mediatorem. Uczyłam się w Chorzowie, Wyższa Szkoła Bankowa, licencjat, magisterka. Żartuję sobie czasem, że Marcie od 16 lat robię darmową terapię. Choćby z prawem jazdy – nie chciała mieć, uważała, że jej niepotrzebne, bo jeździ rowerem. Rozłożyłyśmy problem na czynniki pierwsze, bo jednak zimą, jak trzeba podjechać 100 km, to co? Zrobiła, miała 30 lat. Potem sama założyła firmę, została trenerem personalnym, praca na siłowni, ale też dojazd do klientów. Ma łóżko do masażu mobilne, które dziś przewozi samochodem. I co? Przydało się prawko! Coaching okazał się skuteczny.

Zresztą z kursami Marty było podobnie, mówiłam: „Skoro lubisz sport, idź w tym kierunku”. Dziś ona ma swój biznes, ja mam swój biznes. Są oczywiście lepsze i gorsze miesiące, nigdy nie wiesz, ile zarobisz, ale nie ma etatu, nie ma szefa, jak chcemy miesiąc wolnego, to mamy. Po co tyle? To ty nie wiesz? Na Kambodżę!

MARTA: MUSIAŁAM SIĘ NAUCZYĆ LUDZI

Od dzieciństwa interesowałam się sportem. Jeździłam na rowerze, brałam udział w zawodach, kolarstwo górskie, trochę szosowe. Chociaż to drugie mi za bardzo nie odpowiadało, jazda cały czas po asfalcie, nuda. Wolę jednak korzenie, żwir, błoto.

Pamiętam, że jak dorastałam, wszystko robiłam sama. Sama jeździłam na rowerze, sama na spacerach chodziłam. Może to jakiś kompleks, może nie lubiłam ludzi. Moi rodzice, jak miałam 14 czy 15 lat, się rozwiedli. Ojciec pił. Na początku widywaliśmy się raz w tygodniu, a potem kontakt się urwał. Nie wiem, gdzie jest ani czy żyje. Interesował się bardziej alkoholem niż mną. I z jednej strony dzieciństwo wspominam naprawdę zajeżdżone: blok, ogromne podwórko, piłka z chłopakami, łażenie po garażach. Z drugiej – tak, że przychodziło się do domu, ojciec pijany, awantury. Nieraz policja do nas przyjeżdżała. Chciałam iść na swoje, miałam 15 lat i już nosiłam ulotki, gazety sprzedawałam, żeby mieć pieniądze. Musiałam trochę nauczyć się wychodzenia do ludzi, nie od początku byłam taka odważna jak Mariola. Jak pierwszy raz wyłądo-

Związki tej samej płci są przelotne? *My jesteśmy 16 lat*

wałyśmy w Kambodży pośrodku niczego, było mi strasznie źle. Ale pojechałam dla niej, wyjazd zbiegł się z dziesiątą rocznicą naszego związku. I też Mariola poczuła się lepiej po chorobie.

MARIOLA: ROBIĆ COŚ, CO SIĘ LICZY

Przez 12 lat robiłyśmy na Śląsku tęczowe imprezy, podobało się nam, że są takie w Krakowie, Wrocławiu, stwierdziłyśmy: czemu nie zrobić u nas. A to show, tancerki, a to przyjaźni lekarze, ginekolog, gadzety, porady. Było super, ale doszłyśmy do wniosku, że człowiek nie żyje samą imprezą, że trzeba coś zrobić dobrego dla innych.

Moja choroba? Zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa, to choroba autoimmunologiczna, przewlekła. Wyniszcza organizm, stawy przestają działać, trochę jak przy stwardnieniu rozsianym. Miałam już takie stany, że byłam sparaliżowana od pasa w dół, nie mogłam się ruszyć. Czułam się więzieniem we własnym ciele, nie dawałam rady nawet wstać z łóżka, ubrać się. Marta mnie karmiła, myła. Mogłam po prostu leżeć, lzy leciały mi z bólu, budziłam się w nocy z krzykiem, druga, trzecia. Myślałam tylko o tym, żeby sobie kulkę w łeb strzelić. Zastanawiałam się wtedy, co Marta ze mną robi, parę razy jej powiedziałam, że to bez sensu, że powinna odejść. Ale trafiłam na dobrego lekarza, leki, dzięki którym stanęłam na nogi. Że świetnie wyglądam jak na chorobę? Wiem!

Jak mogłam już normalnie funkcjonować, pojechałyśmy na wycieczkę. Zwiedziłyśmy trochę świata: Dubaj, Tajlandia, Kambodża. I ja się w tej Kambodży zakochałam. Wróciłyśmy po pół roku, stwierdziłyśmy, że chcemy wracać i pomagać dzieciakom z sierocińców. Założyłyśmy stowarzyszenie, chciałyśmy robić coś, co się liczy. Czasem ktoś powie, że w Polsce jest tyle rzeczy do zrobienia albo że powinnyśmy reprezentować osoby ze społeczności. My jesteśmy w niej obecne i nadal ją wspieramy. Cemu mam pomagać tylko osobom LGBT? Bo jestem lesbijką? Mogę wspierać sprawy, które są mi bliskie. Bo najpierw – kim jestem, jak żyję. Potem – co robię dla innych, jak ich traktuję. A na końcu – sama wiesz. ♦

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**

Projektowanie życia
Morfologia syntetyczna umożliwia naukowcom nadawanie żywej materii kształtów i form, których nigdy nie widziano w naturze
Philip Ball
Ilustracja: Richard Borge

Życie z lampartami
Wielkie bory wycięte w mroźnym powietrzu lodu - efekt ten powstaje w wyniku...
Fotografia: Filip Altmann

Ile waży nic?
Eksperyment Amickiego...
Wielki bory wycięte w mroźnym powietrzu lodu - efekt ten powstaje w wyniku...
Fotografia: Filip Altmann

SCIENTIFIC AMERICAN
Polska Edycja
Czerwiec 2023 nr 6 (192)
Cena 16 zł 99 gr
Misja Jowisz
Nowe sondy zbadają księżycy planety. W ich oceanach może istnieć życie

Projektowanie organizmów
Jak pusta jest próżnia?
Walka czy koegzystencja?

Czerwcowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Sen

o wolności

Ten proces był medialnym spektaklem. Pisano o Monice „przywódca morderczyni”. Piękna, wysoka, inteligentna. Tego media nie mogły jej podarować

Z WOJCIECHEM TOCHMANEM, AUTOREM KSIĄŻKI „HISTORIA NA ŚMIERĆ I ŻYCIE”, ROZMAWIA MONIKA TUTAK-GOLL RYSUNEK MAGDALENA KARPIŃSKA

K

Kim jest „dożywotka”?

W więzieniu to pogardliwe określenie kobiety skazanej na karę dożywotniego więzienia. Jest ich w Polsce 15. A mężczyzn – ponad pół tysiąca.

Pierwszą kobietą skazaną w Polsce na dożywocie była Monika Osińska. Odpowiadała za brutalne morderstwo na warszawskim Tarchominie, które wstrząsnęło Polską. Razem z nią - jej dwaj koledzy. Ich proces w latach 90. śledził cały kraj, ekscytowały się nim media. Pisano o trójce maturzystów, którzy „zabili, bo chcieli dobrze ubrać się na studniówkę”.

To dobrze wyglądało w gazetowych tytułach. A to była powierzchnia dramatu. To hasło powtarzane jest zresztą do dzisiaj. A niczego nie wyjaśnia. Nikt nie szukał odpowiedzi na pytanie: jak to możliwe, że trójka maturzystów chciała zabić dla ciuchów? Serio, cała trójka tego chciała? Kim byli ci młodzi ludzie? Krzyczano, że głęboko zdemoralizowanymi bestiami. To bzdura. Byli przeciętnymi maturzystami jakich wielu. Nic przed zbrodnią nie świadczyło o ich głębokiej demoralizacji. Więc skąd ta przemoc? Postanowiłem przyjrzeć się sprawie wnikliwiej.

O tym, co się wtedy działo, napisałeś właśnie książkę.

Po południu 19 stycznia 1996 roku troje 18-latków przyjechało do wieżowca, gdzie

w mieszkaniu mieściło się biuro firmy kolportującej krzyżówki. W tamtych czasach przed supermarketami ludzie wciskali krzyżówki innym ludziom. Mówili, że w ten sposób zbierają pieniądze na chore dzieci. W tym biurze pracowała i mieszkała Jola, cztery lata od nich starsza.

Kim była? Znali ją?

Jeden ze sprawców, „Yogi” – taką miał wtedy ksywkę – znał Jolę, bo dorabiał, kolportując krzyżówki. On wymyślił całą akcję, skłonił do niej najpierw kolegę, którego przezywano „Gołąb”. Potem obaj zaproponowali ten skok Monice z ksywką „Osa”. Tak to określił jeden z nich: skok. „Yogi” powiedział: tam są pieniądze. Zadzwonił do Joli, że ma świetną dziewczynę, która też chce kolportować krzyżówki. Przyszli podpisać umowę. Jola z uśmiechem otworzyła im drzwi.

Jeden z 18-latków wziął ze sobą kij bejsbolowy.

To było bestialskie morderstwo. Kiedy Jola wpisywała do umowy dane Moniki, jeden z chłopaków uderzył ją kijem. Potem padły kolejne ciosy, pojawił się pierwszy nóż, drugi. Monika tymczasem poszła do drugiego pokoju i tam szabrowała. Ukradli wideo, pagery, niedrogą biżuterię, drobne pieniądze. Miesiąc później zatrzymano całą trójkę.

Media skupiają się jednak tylko na dziewczynie.

Banda „Osy” – tak mówiono. Powtarzano, że była przywódczynią tych biednych chłopaków. A to kolejna nieprawda. Monika budziła zainteresowanie, nie jej koledzy.

Czemu?

W naszym kodie kulturowym, w naszych głowach mieści się obraz mężczyzny, który zabija z chęci zysku, z namiętności, z rozmaitych powodów, także perwersyjnych. Obraz mężczyzny, który zabija, funkcjonuje

w kulturze, w filmie, w literaturze. Od dziecka, jeśli rodzice nam pozwalali, oglądaliśmy w telewizji kryminały, czytaliśmy kryminały, mówiło się też o realnych zbrodniach. Kiedy byłem dzieckiem, w Krakowie straszono nas Karolem Kotem, zresztą skazanym i powieszonym jeszcze przed moim urodzeniem. Potem bohaterem mediów i ulicy był Zdzisław Marchwicki zwany „Wampirem z Zagłębia”, później, już w nowej Polsce – Mariusz Trynkiewicz. Każde pokolenie ma swoje głośne zbrodnie. Popelnione przez mężczyzn. Kobieta morderczyni kojarzy nam się raczej z tą, która w kuchni zabija domowego oprawcę, męża czy partnera. Taki obraz morderczyni znamy: dźgnęła drania nożem, bo sobie zasłużył. Rozumiemy jej cierpienie, również cierpienie jej dzieci, potrafimy jej współczuć. Kuchenne zabójczynie nie dostają długoletnich wyroków.

Zbrodnia, za którą skazano Monikę Osińską, to zupełnie inna historia.

To potworne morderstwo. Kto je popełnił? To pytanie wisi nad moją „Historią...”. Sąd nie miał wątpliwości, że cała trójka. Kobieta morderczyni? W mediach zawrzało: młoda kobieta weszła na terytorium zarezerwowane dla mężczyzn. Za to właśnie, w moim przekonaniu, została osądzona tak surowo. To znaczy za pleć, za urodę. Piękna, wysoka, wyprostowana, z bujną czarną fryzurą. Żeby choć głupia była. Ale była inteligentna. Tego media nie mogły jej podarować. To obudziło furję: zimna, wyrachowana, bez uczuć, przywódca. Kolejna nieprawda, również powielana do dzisiaj.

Jak to? Był wyrok skazujący na dożywocie, apelacja, która ten wyrok podtrzymała, potem kasacja. Nigdy nie złagodzone kary wobec Osińskiej.

Sąd dał wiarę jednemu z oskarżonych, który twierdził, że Monika wiedziała, że idą zabić. Choć wcześniej zeznał, że nie wiedziała.



I ona twierdziła, że nie wiedziała. I ja, po kilku latach dokumentacji, uważam, że Monika Osińska nie zabiła.

Jak to zrozumieć?

Szła, by zabić? To tylko jedna z wersji. Są też inne, nawet bardziej prawdopodobne. Tam było słowo przeciwko słowu, mnóstwo wątpliwości. Sądy rozstrzygały je na niekorzyść Moniki. A powinny zrobić odwrotnie.

Pobiegła do kuchni, włożyła głowę do lodówki. W mediach z tamtego czasu powtarza się zdanie: „Miała ochotę na tatar”.

Ta scena ciągnęła się za nią przez wszystkie instancje. I świadczyła przeciwko niej. A ten fakt można by uznać za okoliczność łagodzącą. Można by, gdyby sąd wnikliwie zapoznał się z opinią sądowopsychiatryczną wydaną przez biegłych po szpitalnej obserwacji Moniki. Biegli potwierdzili, że Monika nie ma cech przywódczych ani agresywnych. Przebywała blisko sto dni między innymi pacjentkami i bez wątpienia by to wyszło. Specjaliści nie wykazali, by była nastolatką głęboko zdemoralizowaną. Odniesli się też do tatar. Jak? Piszę o tym w „Historii...”. Tatar rozgrzewał opinię publiczną do czerwoności. Sąd pracował pod potężną presją. Jestem przekonany, że gdyby Monika była 18-latką, a nie 18-latką, sąd nie skazałby całej trójki hurtem na dożywocie. Bo wina poszczególnych uczestników tego makabrycznego zdarzenia nie była taka sama, co zresztą po 27 latach sąd wreszcie przyznał. Sędzia, który ostatnio wypuścił Monikę na warunkowe zwolnienie, napisał w uzasadnieniu, że jej rola w przestępstwie była mniejsza. Sądzę, że gdyby Monika była chłopakiem, wyszła by na wolność już dawno.

Proces był medialnym spektaklem. Pisano o Monice „przywódca morderczyni”. Psycholożka więzienna przyprowadza na proces bioenergoterapeutkę, która dotyka głowy oskarżonej. Przed sądem odbywają się manifestacje. Ludzie są zwożeni przez szwagra Joli, Krzysztofa O., autokarami. Twarz Moniki jest we wszystkich gazetach. Po co wracasz do tamtej atmosfery?

By pokazać, jak łatwo Krzysztof O., jeden z bohaterów tej opowieści, zmanipulował media i opinię publiczną i jak to wpłynęło na orzeczenie winy, na wymiar kary. To opowieść o prawie i sprawiedliwości w polskiej wersji, o zarządzaniu gniewem.

Kim był Krzysztof O.?

Z wykształcenia pielęgniarzem, właścicielem tej firmy krzyżówkowej w wieżowcu. Posta-



Nikt nie sięgnął głębiej, nie szukał odpowiedzi na pytanie: jak to możliwe, że trójka maturzystów chciała zabić dla kilku ciuchów?

Kim byli ci młodzi ludzie?

nowił na własną rękę odnaleźć morderców. Założył Stowarzyszenie przeciwko Zbrodni. Odgrzebał stary, ale obowiązujący przepis, że w procesie może uczestniczyć przedstawiciel społeczny. Nie jest stroną procesu, ale może zabierać głos. Stowarzyszenie żądało dożywocia. Krzysztof O. zabierał głos i poza salą rozpraw, jego twarz znała cała Polska. Mówił o tatarze. Sugerował, że to Monika okaleczyła oczy ofiary. W procesie brała też udział jego żona, siostra zamordowanej. Jako oskarżycielka posiłkowa. Też żądała dożywocia, a przed kamerami - kary śmierci. Rodzina cierpi, więc ma prawo do różnych emocji, także radykalnych. Rozumiem je, współczuję, ale uważam, że nie powinna sugerować sądowi wysokości kary, bo nie może być obiektywna. Dożywocie było wtedy nową karą, która weszła w miejsce zlikwidowanej kary śmierci jako „bardziej humanitarna”.

Piszesz w książce, że Krzysztof O. kierował się żądzą zemsty, ale stał się bohaterem tego spektaklu. W pewnym momencie cieszył się wielkim zaufaniem społecznym.

Był naszym szeryfem w czasach, kiedy państwo nie radziło sobie z przemocą. To lata 90., mafia, wymuszanie haraczy, strzelaniny, eksplozje, włamania, porwania, mor-

derstwa. W tym wszystkim objawił się Krzysztof O. i powiedział: ja was ochronię.

Chciał być w centrum uwagi.

Dziennikarze pielęgniarza nazywali mecenasem. Na śmierci szwagierki zrobił niebywałą karierę: pracował u rzecznika praw obywatelskich, potem na stanowisku rządowym. W warszawskim ratuszu urzędował przy prezydencie Lechu Kaczyńskim. Miał media na jeden gwizdek, na telefon. Wyglądało to na żądę odwetu, wręcz na jakąś namiętność do Moniki Osińskiej. Nienawiść może być miazdząca emocją. Jedną z ekspertek mówi w mojej „Historii...”, że organizacje działające na rzecz ofiar nie zajmują się sprawcą, tylko ofiarami. On zajmował się polowaniem na Monikę. Publicznie ją wyzywał, ciągnął za włosy, opowiadał na jej temat niestworzone bzdury. Wydał wyrok przed procesem. W moim przekonaniu Krzysztofowi O. uległ również sąd. Szwagrem zamordowanej Joli media interesowały się do 2013 roku, potem szwagier zniknął. Dziś wiemy, że był uwikłany w różne sprawy karne, całkiem ciężkiego kalibru: nielegalne adopcje, sutenierstwo. A kilkanaście lat wcześniej był „rzecznikiem praw ofiar”. Na procesie maturzystów był gwiazdą. Z procesu zrobił igrzyska, jarmark. Na sali sądowej hand-

lowano książeczką z wizerunkiem ofiary morderstwa na okładce.

To prof. Maria Łopatkowa napisała wtedy książkę „Morderstwo przed studniówką”.

Prof. Łopatkowa rozmawiała z Moniką 15 minut w areszcie śledczym na Grochowie. Na tej podstawie powstała opowieść o Monice zwanej w książce Sandrą. Autorka nie interesowała się kolegami Moniki, którzy zabili Jolę. Z nimi nie rozmawiała, ale swoją książkę wydała na Monikę wyrok jeszcze przed procesem. Wszyscy byli oczadzeni tą atmosferą. Pewna psycholożka, która badała Monikę niezależnie od biegłych, napisała w papierach – co ciągnie się za Moniką do dzisiaj – że jest wysoce zdemoralizowana. Serio? Nastolatka dochodzi do matury bez powtarzania klasy, bez konfliktu z prawem, jest lubiana przez otoczenie – to jest głęboka demoralizacja? A to, że piła piwo w piątek przed lekcjami, miała szkołę na 13 – to jest zarzut do niej czy do dorosłych? Byłbym skłonny twierdzić, że zdemoralizowana to była ta psycholożka, która wymyśliła, by Monikę wsadzić do jednej celi z innymi kobietami skazanymi na dożywocie: Małgorzatą R., zabójczynią dilerów Ery GSM, i Moniką S., zabójczynią maturzysty Tomka Jaworskiego. Według relacji Moniki psycholożka wrzuciła im do celi czarny worek i powiedziała: „Ciekawe, która z was pierwsza w nim stąd wyjdzie”. Mówiła do Moniki: „Chodź tu, mój mały hitlerowcu”. Takie były metody pracy w polskim więziennictwie. To się zmieniło. Dawniej Monika była szturchana, bita, molestowana, wyzywana i przez współosadzone, i przez służbę więzienną. Dziś do każdej osadzonej mówią „proszę pani”.

W więzieniach, sądząc po tym, co mówi w książce Monika, inaczej traktuje się kobiety, inaczej mężczyzn.

Traktuje się je jak dzieci. Niegrzeczna dziewczynka, bo z widzenia z rodziną przyniosła do celi batonik! Kary są wpisywane do akt. Po latach bierze się je pod uwagę, kiedy przychodzi czas na rozpatrzenie wniosku o przedterminowe warunkowe zwolnienie. Karana dyscyplinarnie? Nie nadaje się do wyjścia. Kary można z papierów wymazać. Osadzona ma taką możliwość w ramach otrzymywanych nagród, o ile nie wybierze innej nagrody, którą jest dodatkowe widzenie z rodziną. To sadyzm. W wielu więzieniach kobiety nie mają możliwości nauki i płatnej pracy. Mężczyźni mają ich więcej. „Yogi”, skazany razem z Moniką, skończył w więzieniu studia, wydał tomik poetycki, uczył się kilku języków, miał szereg możliwości, żeby się rozwijać. Monika takiej szansy nie dostała. O wszystkim w jej życiu decydowała służba więzienna. Na przykład o prysznicu

– dwa razy w tygodniu. W polskim więzieniu kobiety, ale i mężczyźni, nie mają prawa do codziennego prysznicu. Mężczyźni mają prawo do widzeń intymnych z partnerkami z wolności, osadzonym kobietom się to utrudnia. Bo osadzona może zajść w ciążę. A to dla wszystkich kłopot. Tymczasem jeśli kobieta z wolności po widzeniu intymnym z osadzonym zajdzie w ciążę, to nie problem. Państwo zapłaci alimenty.

Uważasz, że Monika nie zasłużyła na taką karę?

Na taką nie. Sąd wydał wyrok nieludzki. Nawet gdybym podzielał zdanie sądów wszystkich instancji, że Monika jednak zabiła, to nie mogę zgodzić się z tym, by na dożywocie skazywać nastolatków.

18-latków, czyli odpowiadali jak dorośli.

18-latków w chwili popełnienia czynu, skazani zostali dwa lata później. Sąd, jak rozumiem, na dożywocie skazuje sprawcę zbrodni, co do którego nie widzi szansy na poprawę. Sędzia Piotr Janiszewski, który w grudniu 1997 roku przewodniczył sądowi, nie mógł mieć wtedy pewności, że ci młodzi ludzie nie mają szansy na zmianę. Sąd nie jest Bogiem. W uzasadnieniu sędzia nie napisał słowa o tym, że sąd rozważał dla Moniki inną karę. Sąd mógł dywagować, „czy oskarżonej jednak nie skazać na 25 lat, ale jednak z takich, a nie innych powodów dostaje karę najwyższą”. Nie. Nastolatkę skazano na karę eliminacyjną. Bez cienia wątpliwości, tak to przynajmniej wynika z akt. A ona nie miała narzędzia zbrodni w ręce. Na wizji lokalnej, której filmowy zapis do dzisiaj można znaleźć w sieci, dano jej kij bejsbolowy do ręki, by pokazywała, jak kolega uderzał ofiarę. Tak kreowano obraz „królowej zbrodni”. Pisano, że na wizji lokalnej z zimną krwią pokazywała, jak zabijali. A ona po prostu starała się być grzeczna, o ofierze mówiła „pani Jola”. Jednak najważniejszy przy orzeczeniu winy i kary był zamiar.



WOJCIECH TOCHMAN

(ur. 1969) – reporter, autor książek: „Wściekły pies”, „Bóg zapłać”, „Dzisiaj narysujemy śmierć”, „Jakbyś kamień jadła”, „Schodów się nie pali”, „Eli, Eli”, „Pianie kogutów, płacz psów”, współautor „Kontenera” i „Krall”

Czy Monika, idąc tam, wiedziała, że idą zabić? W tej sprawie było mnóstwo wątpliwości. A wątpliwości powinny być rozstrzygnięte na korzyść oskarżonej. Sąd żadnych wątpliwości nie miał. Pracując nad „Historią...”, chciałem porozmawiać z sędzią, który wtedy był przewodniczącym sądu. On nadal orzeka. Zapytałbym go o odpowiedzialność sędziego. Odmówił. Chcę być dobrze zrozumiany: nie usprawiedliwiam Moniki. Ona sama siebie nie usprawiedliwia. Mówi: „Powinnam była dostać 25 lat. Jestem winna, ale nie zabiłam”.

Czuje się odpowiedzialna za to, co zrobiła. Mówi, że mogła to przerwać. Nie zareagowała. Mogła stamtąd wybiec.

Zgadza się, że gdyby z nimi nie poszła, kole-dy pewnie by też tam nie poszli i do zabójstwa by nie doszło. Mogła przeszkodzić, nie zrobiła nic. A wiesz, jak byś się zachowała, będąc na jej miejscu? Ja nie wiem, co bym zrobił. Sąd dał wiarę „Yogiemu”, czyli temu, który to wszystko wymyślił, tłumacząc, że jego zeznania są logiczne. A to, co mówiła Monika, a także ten drugi sprawca, logiczne nie było. Serio? Sąd uważał, że postępowanie nastolatków zawsze jest logiczne i zawsze da się logicznie wytłumaczyć? Wiek sprawców nie był dla sądu żadną okolicznością łagodzącą. To musi bulwersować. Stała się rzecz straszna, zabiło młodą kobietę ze szczególnym okrucieństwem, mordercy powinni za to zapłacić. Ale nie powinni zapłacić tak samo. Ich wina nie była taka sama. Żadne z nich nie powinno było zapłacić dożywociem. To była kara rażąco surowa i, jak powiedziałem, eliminacyjna. Dziś Monika Osińska nie dostałaby dożywocia. Tak jak nie dostali jej zabójcy z Rakowisk, 18-latkowie, chłopak i dziewczyna, którzy zabili rodziców tego chłopaka. Sąd uznał, że kara musi zawierać w sobie czynnik wychowawczy. Dostali po 25 lat. Minister sprawiedliwości – prokurator generalny, wszyscy wiemy, jak on się nazywa, domagał się od Sądu Najwyższego zmiany kary na dożywocie, argumentując, że ćwierć wieku to kara rażąco łagodna. Nie – odpowiedział Sąd Najwyższy – rażąco surowe byłoby skazanie 18-latków na dożywocie.

Napisałeś, że przy karze dożywocia nie ma resocjalizacji, bo nie ma celu.

Monika mówiła mi, że jej jedynym celem jest obudzić się jutro. Jedynym marzeniem – znać datę. Datę wyjścia. Bez celu nie ma nadziei. Bez nadziei nie ma resocjalizacji. Zresztą „resocjalizacja” to złe słowo. Więzienie jest ostatnim miejscem, gdzie kogokolwiek można resocjalizować. Tam odbywa się desocjalizacja.

Po 25 latach kary pisze się w opinii penitencjarnej, że Monika nie może być przed-

terminowo zwolniona, ponieważ 20 lat temu uderzyła współosadzona. Ale to, że przez 20 kolejnych lat nie uderzyła już żadnej, nie ma znaczenia. W opinii, która ma pomóc sądowi penitencjarnemu w wydaniu pozytywnego bądź negatywnego postanowienia o warunkowym zwolnieniu, kierownictwo więzienia podnosi, że Monika pochodzi z rozbitej rodziny. Ona ma za to odpowiadać? I jakie ma to znaczenie po 26 latach kary? Monika zaraz skończy 50 lat. W jej przypadku zasada progresji - im dalej w głąb kary, tym więcej wolności - nie działa. Otwarta cela, spacer na zewnątrz, przepustka. Prawo pozwalało Monice na wyjście na przepustkę po 15 latach. Nigdy jej nie dostała. Nie dostała też półotwórka, kiedy powinna była dostać.

Co to znaczy?

Półotworek to oddział półotwarty: w ciągu dnia więźniowie mają otwarte cele, mo-

fuje. Tego od Moniki oczekiwała rodzina. Bliscy byli jej jedynym oknem na wolność. Utrata kontaktu z nimi by ją zabiła. Lidka przerwała pracę. A zainwestowała w nią sporo. Zrobiła świetną dokumentację, ale do pisania była jeszcze długa droga. Spytałem Waldka Petryka, jej partnera, a także jej synów, czy mogą tę pracę kontynuować. Dali mi zgodę i archiwum Lidki.

I przede wszystkim zapytałem Monikę, czy nie chciałaby do tej pracy wrócić. Chciała. Zaczęłem ją odwiedzać, dokumentować ciąg dalszy, już po swojemu. Sądzę, że nasza cudownie mądra i czuła Lidka uratowała Monice życie. Był taki moment, że przychodziła do niej co tydzień. To czas, kiedy Monika chyba stała na krawędzi. Lidka jej pokazała, że każde życie ma sens, także jej życie ma wartość, że i ona na dobre życie zasługuje. Już poza więzieniem. Uważała, że życie Moniki Osińskiej trzeba zapisać i ludziom opowie-

Powtarzano, że „Osa” była przywódczynią tych biednych chłopaków. *A to kolejna nieprawda*

gą się wzajemnie odwiedzać, mają świetlicę, telefon na korytarzu. Prawo pozwalało Monice na półotworek po 15 latach, dostała go po 23. Bo tak się komuś podobalo. To tortura. Ale Monika była dzielna. Nigdy nie straciła nadziei. To ją uratowało. Dopiero w 2021 roku, zgodnie z wyrokiem z 1997 roku, po raz pierwszy skorzystała z prawa do wniosku o przedterminowe warunkowe zwolnienie.

W latach 90. państwo pokazało siłę, skazując nastolatkę na karę eliminacyjną. Nikt wtedy nie wiedział, co ta kara znaczy. Nie wiedzieli tego sędziowie, którzy tę nową karę orzekali. Monika jest pierwszym człowiekiem z dożywociem, który opuszcza zakład karny. Po 27 latach i jednym miesiącu. Co teraz z nią będzie?

Ma gdzie wracać?

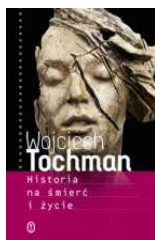
Wraca do rodziców. Trwali przy niej przez te lata. Byli przy niej może bardziej, niż kiedy chodziła do szkoły. Jej życie jest pasmem traum. Wiem, że w przypadku skazanej na dożywocie to źle brzmi. Ale prawda nie jest od tego, by zawsze dobrze brzmiała nam w uszach.

Napisałeś tę książkę, kontynuując pracę Lidii Ostałowskiej, wybitnej reporterki, która przez lata spotykała się z Moniką. Lidka uczyła mnie zawodu, była moją mistrzynią i przyjaciółką. Przez cztery lata odwiedzała Monikę. Niestety, rok przed śmiercią dostała od niej list, że się wyco-

dzie. To musiało być dla Moniki krępujące. Przetrawiała dzięki kobiecej solidarności. Dzięki Lidce, ale też dzięki drugiej kobiecie. To Justyna Domałowska-Szulc z Fundacji Domu Kultury, która pracuje z więźniami.

Kim dzisiaj jest Monika?

Nie wiem. Myślę, że sama jeszcze tego nie wie. Na pewno jest osobą zresocjalizowaną w rozumieniu systemu penitencjarnego. Sama się zresocjalizowała. Ufam, że jest dobrym człowiekiem. Zresztą nigdy nie była czystym złem, jak nam usiłowano wmówić. Nie była bestią, tylko dzieckiem, które znalazło się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, z niewłaściwymi ludźmi. W więzieniu została 120 razy nagrodzona, przeszła ponad 20 programów readaptacji. Sądzę, że jest wrażliwa i odpowiedzialna. Wie, czego chce, ma własne zdanie, ale i pokorę wobec świata. To mi się podoba. Mam do niej zaufanie. I wierzę, że się nie pomyłę. Chciałbym, by w spokoju zaczęła budować życie na wolności. Jakkolwiek będziemy dzisiaj oceniać jej winę, Monika Osińska już zapłaciła. ♦



WOJCIECH TOCHMAN
„Historia na śmierć i życie”,
Wydawnictwo Literackie

LISTY



e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
adres: ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa,
telefon: 22 555 66 00

LIST TYGODNIA

Mówię: dość!

WDzień Dziecka nagle przypomnieliśmy sobie, że „wszystkie dzieci nasze są”. Z większą lub mniejszą pompą organizowane były pikniki, spotkania, koncerty, występy dla milusińskich. Bardzo dobrze, że chociaż raz w roku niektórzy dorośli uprzedzają sobie, że wypadaloby sprawić jakąś przyjemność dzieciakom. Szkoda, że na co dzień tak wielu pseudorodziców i pseudourzędników zapomina o tym, że dziecko to też człowiek, ma swoje prawa. Niestety, ostatnio coraz częściej wstrząsają nami historie skatowanych - Hani, Kamilka, Zuzi, Stasia i wielu innych. A przecież by uniknąć tragedii, wystarczyłoby, gdyby właściwe służby wykonywały rzetelnie swoją pracę. No, ale to nie w naszym, od ośmiu lat przedziwnym kraju, w którym najważniejsze jest nienarodzone dziecko, a to, które już żyje, nie obchodzi decydentów. No, chyba że jakiś dyrektor szkoły ośmieli się zawiadomić odpowiednie służby, że jego uczennicy dzieje się krzywda (ostatnia głośna sprawa z Tarnowa). Oj, wtedy wkracza pani małopolska kurator i ten, który miał odwagę ująć się za krzywdzoną dziewczyną, ma niebotyczne problemy.

W naszym kraju ostatnio wszystko stoi na głowie. Z niepokojem obserwuję, że większość jakby przywykła do codziennych afer, buty i krótkowzroczności rządzących. Czas wreszcie zatrzymać tę karuzelę nienawiści, przyzwolenia na przemoc i największe draństwa wobec dzieci, ale i dorosłych. ♦ **Czytelniczka**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma kolczyki srebrne pozłacane z kolekcji Rosalie marki YES oraz książkę „Przeprowadzę cię na drugi brzeg. Rozmowy o porodzie, traumie i ukojeniu” autorstwa Justyny Dąbrowskiej, Wydawnictwo Agora





IRENA KLEPFISZ NA ZDJĘCIACH ZROBIONYCH PRZEZ JEJ WIELOLETNIĄ PARTNERKĘ, ARTYSTKĘ, JUDITH WATERMAN, BROOKLYN OKOŁO 1978/79 Z ARCHIWUM IRENY KLEPFISZ

Wierzyć w opór

Dobry wygląd, akcent i modlitwa są „algorytmami przetrwania”. Pod opieką siostr zakonnych mogła schronić się przed tymi, którzy podejrzliwie patrzyli na rysy twarzy

TEKST SYLWIA CHUTNIK,
JUSTYNA BILIK

W

Wskrzyszona synagoga co roku wraca na swoje miejsce. Wyświetlana jest na fasadzie wieżowca w centrum Warszawy, nie daleko ulicy Tłomackie, gdzie znajdowała się przed wojną. Przez kilka minut widzimy, jak z ruin powstaje pierwotny budynek. To projekt artystyczny Gabi von Selmann, która zajmuje się pamięcią i tożsamością.

W czasie wyświetlania animacji rozlega się głos kantora, a zaraz po nim słyszymy fragment wiersza w trzech językach: po polsku, angielsku i w jidysz. Jeden z głosów należy do poetki Ireny Klepfisz, autorki tekstu „Bashert”, co w jidysz znaczy „przeznaczenie”:

*Te słowa dedykowane są tym, którzy umarli
bo śmierć jest karą, bo śmierć jest nagrodą
bo śmierć jest ostatecznym odpoczynkiem
bo śmierć jest wieczną furją
te słowa są dedykowane tym, którzy przeżyli
bo życie to dzicz, a oni byli dzicy
(...)*

Słowa napisane przez ocalałą z Zagłady noszą się po placu Bankowym w XXI wieku. Przestrzeń byłego getta zostaje symbolicznie odzyskana przez tę, której miało nie być.

*Te słowa są dedykowane tym, którzy przeżyli
Bo życie to walka, a oni walczyli*

TO NIE KWESTIA PRZYNALEŻNOŚCI

Z poetkami to jest w ogóle różnie. Niektóre są wsobne, mówią o sobie dużo i chętnie, inne milczą i upierają się, że przecież wszystko znajdziemy w ich wierszach. Po co o nich rozmawiać, lepiej poczytajmy. Ale są też takie, które ciągle ciekawią się ludźmi i światem. Opowiadają, dyskutują, angażują się politycznie i chcą być na bieżąco.

Irena Klepfisz angażowała się całe życie. Może to kwestia wychowania, okoliczności, a może wewnętrznego poczucia, że tak po prostu trzeba. I że będąc Żydówką, która przeżyła, poetką, spadkobierczynią idei bundowskich oraz lesbijką, inaczej po prostu nie można.

Urodziła się za murem warszawskiego getta. Jej mama Rose (Shoshana Perczykow) była aktywną członkinią młodzieżowej grupy ruchu syjonistycznego Ha-Szomer ha-Cair, tego samego, do którego należało wiele bojowniczek i bojowników późniejszego powstania w 1943 roku. Kierowali się określonymi zasadami, między innymi utrzymywaniem się z własnej pracy oraz byciem człowiekiem czynu: „dzielnym, żwawym i dziarskim”. Z Michałem Klepfiszem, chemikiem i działaczem Bundu, połączyła ją chęć pracy nad sobą i skupienia się na życiu w Polsce. Ale przyszła wojna, uwięziono ich w getcie i bohaterstwem było nie tylko działanie, ale i trwanie.

W jednej z łapanek urządzonej na ulicy zatrzymano rodziców Michała, skąd trafili do obozu w Treblince i zostali zamordowani. On sam zdołał uciec przed wywózką na Umschlagplatz, ukrywając siebie, żonę i córkę przed niebezpieczeństwem. Rok później ponownie trafił do transportu, ale zdołał przebić się przez metalową osłonę okna i wyskoczyć z pociągu. Wrócił do getta, gdzie wstąpił do Żydowskiej Organizacji Bojowej, która została założona przez kilka młodzieżowych organizacji syjonistycznych i socjalistycznych pod koniec lipca 1942, w odpowiedzi na planowaną w Generalnej Guberni akcję „Reinhard” – miała na celu likwidację getta. Dzięki

znajomości chemii ojciec Ireny został wyznaczony na kierownika produkcji materiałów wybuchowych dla żydowskiego ruchu oporu i stworzył tajną fabrykę bomb. Był także kluczowym łącznikiem z podziemną Armią Krajową, między innymi organizując broń.

Powstanie w getcie wisiało w powietrzu. Załatwił więc fałszywe papiery dla Rose – miała od tej pory pracować jako służąca u polskiej rodziny po tak zwanej aryjskiej stronie miasta. Córkę Irenę umieszczono pod opieką katolickiego domu dziecka. Dobry wygląd, dobry akcent, dobre zachowanie i modlitwa są przecież „algorytmami przetrwania”. Pod opieką siostr zakonnych mogła schronić się przed tymi, którzy podejrzliwie patrzyli na rysy twarzy.

Dwa dni przed wybuchem powstania w getcie część rodziny mogła się na chwilę zobaczyć. To były drugie urodziny Ireny, 30. jej ojca. Widziała go wtedy po raz ostatni. Trzy dni później, 20 kwietnia, miał zginąć, osłaniając swoich towarzyszy przed ogniem z karabinu maszynowego. „Co pomyślała i poczuła, kiedy ktoś przyniósł jej wiadomość?” – pytała Irena podczas mowy na pogrzebie matki w 2016 roku. Sama nie wie za bardzo, czy ma obchodzić urodziny – w końcu zaraz potem wybuchło powstanie i zginął tata. Trudny miesiąc ten kwiecień.

Motyw braku ojca powraca w wierszach Ireny. W jednym mówi wprost: „nie potrzebuję bohatera/ tylko taty”. Natomiast w „O moim ojcu” z 1975 roku kreśli portret człowieka, którego znała tylko z opowieści:

*- był socjalistą i abstynentem, podczas wojny zaczął znów pić,
- trzymał krawat w kieszeni do ostatnich sekund
przed maturą,
- zostawił mnie na ulicy i obserwował z bramy obok, dopóki nie odebrały mnie zakonnice z sierocińca,
- nie chciał mnie bić, mówił matce, że ma za dużą rękę,
- napisał do ciotki, że woli mieć syna,
- kiedy był studentem, żydzi nie mogli siadać w pierwszych ławkach,
więc na wykładach stał,
wystał to, że żydzi mogli znów siedzieć
(...)*

Został po nim symboliczny grób na cmentarzu żydowskim, a jego nazwisko znajduje się na jednym z kamieni, które są częścią Traktu Pamięci Męczeństwa i Walki Żydów. „Mój ojciec wierzył w opór” – mówi jego córka w ostatnim wersie.

ŻYCIE TO PASMO BÓLU

W 1944 roku ewakuowano katolicki sierociniec, w którym przebywała Irena. Matce uda-



Rodzice Ireny: Rose (Shoshana Perczykow), 1940 r., i Michał Klepfisz, 1939 r., oraz mała Irena w 1945 r.

ło się ją znaleźć i mogły ukrywać się razem. W utworze „Polska 1944” opisuje warunki, w których mieszkały, i głód, który towarzyszył im w tamtym czasie. Przedstawia również wzruszającą scenę spotkania dawnej znajomej matki - Heleny Sheffner, bundowskiej towarzyszką, która była nauczycielką francuskiego Michała.

„Ktoś idzie z naprzeciwka: duża kobieta z burzą rudych włosów. Matka i rozmówcy nie próbują na nią nie patrzeć wprost, ale kiedy ją mijają, matka czuje, jak zamiera jej serce. Tęsknota w niej narasta i narasta, dopóki nie wypełni jej całe: jest obecna tak mocno, że aż trudno jej oddychać. Zatrzymuje się; udaje przed dotychczasową towarzyszką, że musi po coś zawrócić (...) Powoli docierają do siebie przez pięć lat przemilczanego bólu.

W całej dzikości okupowanej Polski, w tej emocjonalnej pustce, w której nikomu nie można ufać, matka spotyka nauczycielkę swojego ojca. Przyjaciółkę rodziny. Inną Żydówkę.

Kobieta obiecuje pomoc.

Którejś nocy ktoś podrzuca anonimowo paczkę z jedzeniem. Jemy. Traktujemy tę paczkę jak most, którym wyjdziemy z pustki. I zaczynamy żyć”.

Kończy się wojna, trzeba znaleźć na siebie pomysł. Irena z matką zamieszkały w Łodzi, skąd wyemigrowały do Szwecji, a później znalazły się na nowojorskim Bronksie, gdzie zostały ciepło przyjęte przez bundowskich uchodźców. Był 1949 rok, Irena miała wtedy osiem lat. Dziś, po ponad 70 latach, nadal czuje się bundystką. Uważa, że całe życie kierowała się wartościami, które wyniosła z domu. Wielokrotnie stosowała strategię definiowania problemu, a następnie szukania rozwiązania i naprawienia go. Ważne było również hasło życia „teraz” – niezależnie od tego, w którym miejscu świata, zawsze była Żydówką, miała swoją tożsamość. W 2017 roku była zaangażowana w organizowanie konferencji z okazji 120-lecia Bundu i, jak przyznała, spłaciła w ten sposób dług wobec tych, którzy działali od lat, w tym jej przodkowie ze strony ojca. Uwielbiała podслуchiwać rozmowy matki z przyjaciółmi z tej organizacji. Była zachwycona lojalnością, energią, zaangażowaniem i tym, że nie byli sentymentalni, za to realnie zaangażowani w poprawę życia Żydów. Kiedyś przeczytała, że przeżyta katastrofa wymazuje z pamięci wszystko oprócz samej katastrofy. Zagłada była upamiętniona i zapisana w świadomości tych ludzi, podobnie jak ich życie przed wojną, ale skupiali się na przyszłości, z której czerpali siłę do dalszego działania. Wbrew temu, co przyniosła historia.

Początki emigracji Ireny były trudne. Najpierw matka zarabiała na życie jako krawcowa (zresztą szła do końca swojego



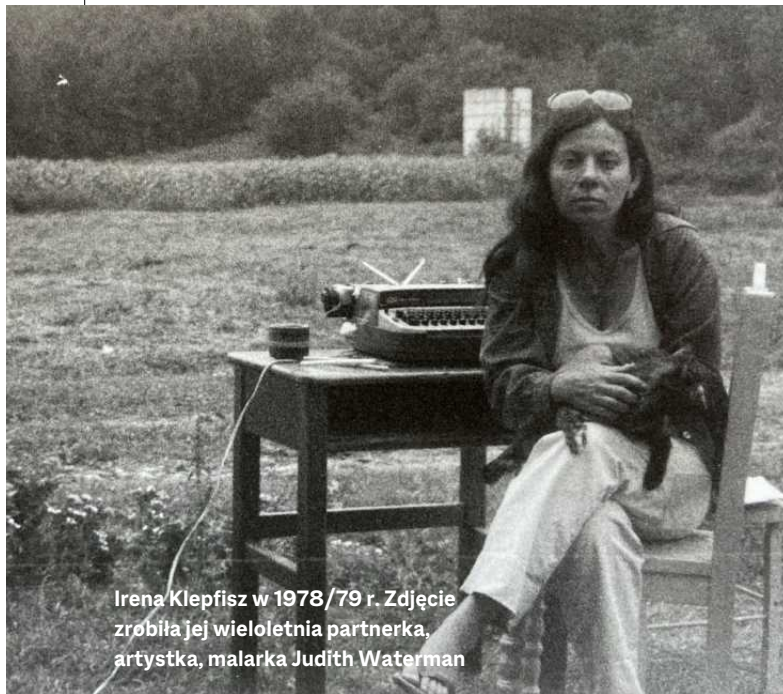
Ważne było hasło życia „teraz” – niezależnie
od tego, w którym miejscu świata,
zawsze była Żydówką, miała swoją tożsamość

102-letniego życia, podpisując każdy ze strojów: „A Rose Klepfisz Original”). Po jakimś czasie włączyła się w pracę nad ochroną dziedzictwa świata aszkenazyjskich Żydów. Zaczęła pracować jako archiwistka i współredaktorka pionierskiej bibliografii Holocaustu „A Guide to Jewish History under Nazi Impact” („Przewodnik po historii Żydów pod rządami nazistów”) i w humanitarnej organizacji Joint Jewish Distribution Committee. Do końca życia była zainteresowana tym, co dzieje się w kwestii dziedzictwa i historii żydowskiej.

WYDAJĄC POMRUKI ROZKOSZY

Dotychczasowe bycie w drodze oznaczało wielojęzyczność. Najpierw polski, potem szwedzki i angielski. Przez kilka pierwszych lat w Stanach rozmawiała z mamą tylko po polsku, potem obie przeszły na angielski,

kiedy czuły się w nim swobodnie. Jidysz najpierw był nauczany w szkole, później pojawił się jako język niezbędny do tłumaczenia i przybliżania sylwetek żydowskich poetek, jak Kadie Mołodowska, która przed wojną opisywała w swoich warszawskich opowiadaniach los osób żyjących w ubóstwie. Później jidysz stał się elementem symbolicznego gestu po pierwszej powojennej wizycie Ireny w Polsce, w 1983 roku. W tym samym roku odbyła się w Nowym Jorku pierwsza konferencja analizująca doświadczenie kobiet w czasie Holocaustu. 40 lat temu zagadnienie to wywoływało kontrowersje, ponieważ część osób uważała, że wyodrębnianie doświadczeń jednej z grup przyćmi grozę Zagłady i przyczyni się do jej rozmywania poprzez „feministyczną perspektywę”. Ale to właśnie dzięki takim spotkaniom i dyskusjom zaczęto baczej przyglądać się piśarstwu kobiet, które dotyczyło tamtych



Irena Klepfisz w 1978/79 r. Zdjęcie zrobiła jej wieloletnia partnerka, artystka, malarka Judith Waterman



Irena (w białej bluzce) podczas parady Gay Pride w Nowym Jorku w 1989 r.

wydarzeń. Pojawiło się zainteresowanie kobiecą poezją pisaną w jidysz. Irena zorganizowała w 1995 roku przełomową konferencję „Di Froyen: Women and Yiddish”, mającą na celu dyskusję o wpływie kobiet na podtrzymywanie kultury tworzonej w tym języku. W Polsce ukazała się w 2018 roku antologia „Moja dzika koza”, w której znalazło się również sześć wierszy Ireny, w tym jeden dotyczący wizyty w ojczyźnie - „Warszawa 1983: Umschlagplatz”. Jego fragmenty wykorzystano w czasie obchodów 80. rocznicy akcji likwidacyjnej getta. Na kilka chwil pomnik na placu wywozek został udźwiękowiony. Można było usłyszeć słowa: „Myślę, nie płaczę”.

Wiersze. Początkowo urwane, nieuporządkowane były dla Ireny próbą zrozumienia własnych emocji. Niektóre z nich są wielojęzyczne, zaplecione w warkocze znaczeń i zestawiania ze sobą dwóch światów - nie-

szkoły w Łodzi lub z rozmów tych, którzy przeżyli, układały się więc we własny dialekt, najbliższy język, w którym przeszłość miesza się z tym, co aktualne.

Pierwszy tom jej poezji ukazał się w 1975 roku, a wiersze w nim zamieszczone pogrupowane były tematycznie. Po jakimś czasie doszedł również w poezji kolejny język - lesbijski. Nieoczywisty, czasem przemycony i subtelny.

noc inspiruje nas do odkryć z safickiej prehistorii

*ssanie moich ust
przez twoje wargi starożytny język
który zawsze rozpoznam mój język
zaproszenie do zapadania w otchłań
słonego morza albo sekretu*

Niektóre osoby przychodziły na jej spotkania autorskie, aby słuchać tekstów o Za-

magazyn „Conditions” o pisarstwie kobiet, ze szczególnym uwzględnieniem pisarstwa lesbijek. Irena była tego pisma współzałożycielką i jedną z redaktorek. Kiedy zaczynała nad nim pracę, jej mama mówiła: „Irka, świat nie jest na to gotowy!”. Niezbyt dobrze znosiła to, że jej córka jest lesbijką. Społeczność żydowska, jak każda inna, była wtedy dość homofobiczna. Dopiero w 2011 roku Rachel Isaacs z New Jersey została pierwszą rabinką lesbijką.

Okazało się jednak, że Irka miała rację - był to doskonały czas na włączenie lesbijskiego głosu do literatury. Pismo ukazywało się od roku 1976 do 1990 i obejmowało poezję, prozę, eseje, recenzje książek i wywiady. Magazyn „Conditions”, tworzony przez kolektyw, kładł nacisk na życie i twórczość lesbijek, w szczególności z klasy robotniczej, niebiałych. Jeden z numerów poświęcony był wyłącznie czarnym kobietom i stał się pierwszym szeroko rozpowszechnionym zbiorem tego typu pism feministycznych w Stanach Zjednoczonych.

Irena została również akademicką wykładowczynią w Jewish Women's Studies, przez dziesięć lat uczyła też w więzieniu dla kobiet o zastrzyżonym rygorze. Współredagowała tom „Plemię Diny: Żydowska antologia kobieca”, wydała kolejne tomy poezji oraz zbiór esejów „Sny cierpiącej na bezsenność”. Została laureatką stypendium National Endowment for the Arts, dostała również prestiżową nagrodę Adrienne Cooper Dreaming in Yiddish 2016.

W 1979 roku poznała miłość życia, artystkę Judith Waterman, z którą przeżyła 35 lat. Judith była malarką skupiającą się w swojej pracy na motywach wodnych i roślinnych.

Niektóre osoby przychodziły na jej spotkania, aby słuchać tekstów o Zagładzie, niektóre zaś o lesbijskiej miłości. *Na szczęście czasem grupy te mieszały się ze sobą*

istniejącego dzieciństwa i tego, w którym żyła. W utworach odbijała się historia „cudzoziemki”, jak pisze o Irenie badaczka Urszula Chowaniec. Tej, która szuka swojego miejsca, a kiedy je znajduje, to stara się zachować własną tożsamość. Poszczególne słowa, zapamiętane z domu rodzinnego, ze

gładzie, niektóre zaś o lesbijskiej miłości. Na szczęście czasem grupy te mieszały się ze sobą. Nowy Jork sprzyjał poszukiwaniom tematów, z którymi można się było zidentyfikować, i osób, z którymi można było realizować nowe projekty. Tak powstał między innymi w latach 70. feministyczny



Irena z Judith Waterman,
Brooklyn, 1995 r.

Czasami przetrząsała nocą śmietniki w poszukiwaniu drewna na blejtramy do swoich obrazów ściennych. Obie były zaangażowane w queerowe życie nowojorskie. Judith zajmowała się też edukacją artystyczną osób starszych lub nieznających angielskiego. Jej obraz, przedstawiający trumnę wypełnioną kwiatami, widnieje na okładce najnowszego zbioru wierszy Ireny „Her Birth and Later Years”.

*Po wszystkich w dogasającym ogniu
brontozaury ocierają długie szyje
o siebie wzajemnie wydając pomruki
rozkoszy potężniejsze niż miałyśmy od-
wagę sobie wyobrazić*

Kiedy Judith zachorowała, Irena ograniczyła zaangażowanie w sprawy społeczne i opiekowała się partnerką, tak jak wcześniej opiekowała się matką.

Po śmierci obu przyjechała po raz kolejny do Polski. Spotykała się z przyjaciółmi, uczestniczyła w spotkaniach autorskich i dyskusjach.

NIE MA LEZ, JEST WYCIE

Irena przez lata była zaangażowana w kwestie relacji izraelsko-palestyńskich. Jak sama podkreśla, wcale nie chciała zostać aktywistką, ale nie umiała milczeć. Chodziła na demonstracje, publikowała i rozmawiała z ludźmi.

Była jedną z inicjatorek Żydowskiego Komitetu Kobiet na rzecz Zakończenia Okupacji Zachodniego Brzegu i Gazy (JWCEO), którego celem było przeciwstawienie się izraelskiej okupacji terytoriów palestyńskich. Organizacja została założona w Nowym

Jorku w 1988 roku. Członkinie co tydzień czuwały pod siedzibami Konferencji Przewodniczących Głównych Amerykańskich Organizacji Żydowskich oraz w żydowskich dzielnicach, aby zademonstrować sprzeciw wobec izraelskiej okupacji Zachodniego Brzegu i Gazy. Były powiązane z innymi organizacjami antyokupacyjnymi, w tym Izraelskim Sojuszem Kobiet przeciwko Okupacji i Kobietaми w Czerni. Wspierały pokojowe negocjacje między państwem izraelskim a Organizacją Wyzwolenia Palestyny, aby ułatwić rozwiązanie dwupaństwa. Echa tej działalności widać w poezji:

*zawsze ktoś migruje
na tej niezmordowanej planecie we
wszystkich kierunkach
odbywa się wysiedlanie gdzieś
jeden zawsze mówi drugiemu
pójdz z mojej ziemi*

Kolejnym projektem, w który się zaangażowała, była grupa Di Vilde Chayes (w jidysz: Dzikie Bestie). Był to świecki, żydowski i lesbijski kolektyw feministyczny, który badał antysemityzm i politykę na Bliskim Wschodzie. Jak łatwo się domyślić, działalność tych kobiet wzbudzała wiele emocji. Wypowiadały się przeciwko antysemityzmowi w ruchach lesbijskich i feministycznych oraz krytykowały działaczy syjonistycznych. Aktywistki utrzymywały, że wyzwolenie żydowskich kobiet wymaga obalenia patriarchalnych instytucji w społecznościach żydowskich oraz że konieczny jest rozwój żydowskich instytucji i przedsiębiorstw feministycznych. W grupie była między innymi poetka i pisarka Adrienne Rich, znana również w Polsce ja-

ko autorka książki o macierzyństwie „Zrodzone z kobiety”.

*Noc. Jeruzalem. Jeruzalaïm.
Jerozolimo. Jeśli zapomnę cię,
O Jeruzalem Jerozolimo Hebronie
Ramallah Nabus Qattano jeżeli ja
zapomnę cię, o Jeruzalem
o Hebronie, niech zapomnę
moją przeszłość mój ból
walizkę z moim smutkiem.*

Z perspektywy czasu Irena uważa, że grupa była dość nieświadoma politycznie i rozpoznawana głównie ze względu na osoby zaangażowane w jej działalność. Traktowała udział w niej bardziej jako think tank i próbę zrozumienia konfliktu, a nie jego rozwiązanie. Nadal aktywnie wypowiada się przeciwko syjonizmowi i agresji Izraela wobec Palestyny.

Temat relacji izraelsko-palestyńskich od zawsze dzielił społeczność żydowską, więc działalność na tym polu łączyła się z ryzykiem nie tylko polemik, ale i konfrontacji z agresją. Kiedy Irena napisała, że „Izrael to Goliat, a Palestyńczycy to Dawid”, wiele osób uważało, że przesadza. Ale ona nigdy nie szła za głosem większości. Tak i teraz, kiedy jednoznacznie wypowiada się w obronie osób transpłciowych czy drag queens, załamuje ręce nad amerykańską polityką i wciąż wierzy w ideały równości.

Podkreśla, że są różne sposoby oporu wobec niesprawiedliwości i faszystwu. Jako ta, która przeżyła getto, uważa się za część ruchu oporu – ocalała z Zagłady, chociaż nie walczyła wprost. Opór jest przecież w samej egzystencji. Opór jest w trwaniu. Chęci do życia. ♦

Dziękujemy Gabi von Seltmann, przyjaciółce Ireny, za konsultację i udostępnienie zdjęć z prywatnej kolekcji poetki.

Śródtytuły oraz cytaty w tekście pochodzą z wierszy Ireny Klepfisz w tłumaczeniu Justyny Bilik. Tłumaczenie wiersza „Bashert” autorstwa Bożeny Keff.

Korzystaliśmy między innymi z:

Irena Klepfisz „Her Birth and Later Years. New and collected poems 1971-2021”, Wesleyan University Press, Middletown, Connecticut 2022.

Olga Kubińska „Fasetowany język: bilingwalna poezja Ireny Klepfisz w poetyckim dyskursie o Zagładzie” [w:] Poznańskie Studia Polonistyczne, seria literacka 33 (53), 2018, s. 327-347.

Zohar Weimar-Kelman „Legible Lesbian Lines: The bilingual poetry of Irena Klepfisz”, „Journal of Lesbian Studies 2”, 2019.

„Moja dzika koza. Antologia poetek jidysz”, przeł. P. Appenzlak i in., wybór i oprac. K. Szymaniak, J. Lisek, B. Szwarzman-Czarnota, wprowadzenie K. Szymaniak, il. A. Czudźak, Kraków 2018, s. 380.
Jordan Kutzik „Remembering Archivist and Warsaw Ghetto Survivor Rose Klepfisz” [w:] Forward.



Laura Poitras
„CALE TO PIĘKNO
I KREW”, w kinach

FILM

Nan Goldin: Oskarżam rodzinę Sacklerów

Cale to piękno i krew” to film genialny. Swoją siłę czerpie z artystycznej mocy dwóch kobiet - Nan Goldin i Laury Poitras. Poitras to amerykańska reżyserka, dokumentalistka nominowana do Oscara za najlepszy pełnometrażowy film dokumentalny „Mój kraju!” (2006) o wojnie w Iraku, autorka rewelacyjnego „Citizenfour” (2014) o Edwardzie Snowdenie, wreszcie laureatka Złotego Lwa na 79. MFF w Wenecji za film dokumentalny „Cale to piękno i krew” - który właśnie wchodzi do naszych kin - opowiadający historię życia artystki i aktywistki Nan Goldin.

Nan Goldin to jedna z najważniejszych amerykańskich fotografek. Jej cykl „Ballada o seksualnej zależności” to arcydzieło - artystyczna dokumentacja życia pewnej grupy ludzi w Ameryce, osób ze środowiska queer, outsiderów, ćpunów, wyrzutków społecznych, artystów awangardowych, buntowników. To również historia o przemoc domowej, której doświadczyła sama Goldin. I opowieść o kryzysie HIV w latach 80. w Ameryce. Z tego czasu Goldin wyniosła żalobę po najbliższych przyjaciółkach i świadomość, jak krzywdząca jest stygmatyzacja i zawstydzanie chorych. Ale wyniosła też strategię oporu, którą wtedy wykształcił ruch ACT UP, czyli AIDS Coalition to Unleash Power - grupa sprzeciwiająca się tej stygmatyzacji, walcząca o prawo do badań medycznych i leczenia. Dziś tej strategii protestu Goldin używa w walce z rodziną Sacklerów, potentatami rynku farmaceutycznego, producentami uzależniającego OxyContinu - przeciwbólowego leku z grupy opioidów - który doprowadził do uzależnienia, a w konsekwencji często do śmierci tysięcy ludzi w USA. W filmie Laury Poitras Nan Goldin, która sama doświadczyła jego uzależniającego działania, gdy lekarz go jej przepisał z powodu zapalenia nadgarstka, oskarża Sacklerów o to, że w ciągu 20 lat lek zabił pół miliona Amerykanów, tysiące uza-

leźnił, tysiące straciły bliskich. Oskarża Purdue Pharmę o fałszowanie wyników badań, korumpowanie lekarzy i polityków.

Tymczasem rodzina Sacklerów, którą Goldin wprost nazywa zbrodniarzami, budowała swoją renomę jako filantropi, sponsorując najważniejsze muzea sztuki na świecie. W akcie sprzeciwu Goldin założyła grupę P.A.I.N., której happeningi miały skłonić muzea do odrzucenia finansowania przez Sacklerów i usunięcia honorujących ich nazwisko tablic z Metropolitan Museum of Art, Luwru, Muzeum Guggenheima, Tate i innych.

Geniusz Poitras i Goldin leży w przenikaniu do sedna sprawy, odsłanianiu tego, co ukryte pod pozorami, pod konwenansami, w radykalnej szczerości i radykalnej empatii. Poitras inicjuje rozmowę o dzieciństwie Goldin i odsłania historię przez artystkę do tej pory nieopowiedzianą - o jej domu rodzinnym, o siostrze outsiderce odrzuconej przez rodziców, która w końcu popełniła samobójstwo. To jedno ze źródeł niechęci Goldin do strategii zawstydzania, którą społeczeństwo stosuje wobec „odmieńców”.

Dokładnie 20 lat temu - w 2003 roku - w Warszawie, w prężnie działającym wówczas Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski (dziś przejętym przez nową władzę) zorganizowano wystawę Nan Goldin. Fotografka odwiedziła wtedy Warszawę. Byłam młodą, niedoświadczoną dziennikarką i niewiele jeszcze rozumiałam, jeśli chodzi o związki i życie. Spytałam ją, jak żyło się w kulturze rozwiązłości - myślałam wtedy, że o tym opowiadają jej zdjęcia, o wolności seksualnej. Odpowiedziała: „Nie byliśmy rozwiązli, my się naprawdę kochaliśmy”.

Z taką miłością bliźniego Nan Goldin podejmuje walkę o ludzką godność, o zdrowie. Z taką samą odwagą jak dokumentowała życie i umieranie bliskich, dokumentuje zbrodnię chciwości amerykańskich milionerów. Jeśli ktoś ma się wstydić, to może wreszcie oni. ♦ (Paulina Reiter)

KSIĄŻKI

Big Book na MDM-ie



Znana i lubiana księgarnia Big Book wchodzi do Śródmieścia. W ciągu ostatnich kilku lat w Warszawie padło wiele księgarni kameralnych, ich miejsce zajęły sklepy z używaną odzieżą, sieciówki z tanim jedzeniem i knajpy. Powód? Nie wytrzymały konkurencji dużych sklepów z książkami, a także coraz popularniejszych serwisów internetowych oferujących najnowsze poezje po znacznie niższej cenie niż w stacjonarnej księgarni. Big Book próbuje odwrócić ten trend i już w czerwcu otwiera drugą, o wiele większą siedzibę na placu Konstytucji. Kilkaset metrów kwadratowych, księgarnia, kawiarnia, scena, na której mają się odbywać spotkania autorskie i spektakle – takiego centrum kultury stolica nie widziała od dawna. Wielkiemu otwarciu będzie towarzyszył Big Book Festival, który odbędzie się po raz 11. w dniach 23-26 czerwca. ♦ (Arkadiusz Gruszczyński) **BIG BOOK FESTIVAL:** <https://bigbookfestival.pl>

FESTIWAL

Wejść do świata Wiedźmina

Tuż przed premierą trzeciego sezonu kultowej sagi o Wiedźminie Netflix przygotował nie lada gratkę dla jej miłośników. W dniach 24-25 czerwca w Łodzi, rodzinnym mieście Andrzeja Sapkowskiego, autora książek o Geralcie z Rivii,

odbędzie się Wiedźmin Fest. Uczestnicy nie tylko jako pierwsi na świecie zobaczą przedpremierowo pierwsze odcinki najnowszego sezonu, ale też będą mieli okazję spotkać odtwórców głównych ról – Henry'ego Cavilla, Anę Chalotré, Freyę Allan i Joey'a Batey'a. Jak zapewniają organizatorzy, będzie to okazja, by wejść do wiedźmińskiego świata inspirowanego historiami z Kontynentu.

Bilety na wydarzenie można zdobyć, biorąc udział w konkursie na stronie probadwiedzmina.pl. Trzeci sezon „Wiedźmina” został podzielony na dwie części, z których pierwsza



zadebiutuje na platformie Netflix 29 czerwca, a druga 27 lipca. Geralt, chcąc chronić Ciri, wywozi ją z Cintry do Aretuzu, gdzie jej szkoleniem ma się zająć Yennefer.

Wiedźmin ma nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o niezwykłych zdolnościach podopiecznej, trafiają jednak w sam środek konfliktu. ♦ (Joanna Wróżyńska) **24-25 czerwca, EC1, ul. Targowa 1/3, Łódź**

OPERA

Trelński kocha Brittena

Ostatnia premiera w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej przed nadejściem lata i, jak chodzą słuchy, ostatnia współpraca słynnego duetu reżysera Mariusza Trelńskiego i scenografa Borisa Kudlički. To „Peter Grimes” Benjamin Brittena, uchodzącego

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

niegdy nie zatrzymuj się na środku przejścia dla pieszych, jeśli osoba, która idzie za tobą, nie zna powodu twojego zatrzymania się na pewno będzie na to przygotowany reżim to po prostu każdy rząd, który jest możliwy a jest możliwy każdy nie mylcie tego z polityką żarty o wojnie należą do tych zawsze śmiesznych

EMILIA KONWERSKA jest poetką, doktorą literatury, za debiutancki tom poezji „112” była nominowana do Nagrody Literackiej „Gdynia”. Powyższy wiersz pochodzi z książki „Ostatni i pierwszy kajman” (wyd. j)

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE



za największego brytyjskiego kompozytora XX wieku, którego Trelński bardzo ceni i propaguje. Prapremiera opery miała miejsce w 1945 roku w Londynie. Akcja rozgrywa się w Aldeburgh, osadzie rybackiej w hrabstwie Suffolk, na wschodnim wybrzeżu Anglii – w rodzinnych stronach samego Brittena, dokąd powrócił po latach mieszkania w Stanach Zjednoczonych



(do których uciekł przed wojną jako zdecydowany pacyfista) ze swoim partnerem, tenorem Peterem Pearsem. Inspiracją dla powstania dzieła stał się poemat George'a Crabbe'a „The Borough”, który zachwyił Brittena. Jego bohaterem jest Peter Grimes – odludek, gwałtownik odsunięty na margines przez społeczność rybaków z Aldeburgha. Ta pierwsza w dorobku Brittena opera stała się natychmiastowym sukcesem, zyskując status arcydzieła. W roli Grimesa wystąpi brytyjski tenor Peter Wedd. ♦ (Paulina Reiter) **BENJAMIN BRITTEN „PETER GRIMES”, reż. Mariusz Trelński, premiera 23 czerwca 2023 r., Teatr Wielki – Opera Narodowa**



**KIRSTIN VALDEZ
QUADE**

– zdobywczyni nagrody Center for Fiction za debiut oraz Rosenthal Family Foundation Award. Jej debiutancka powieść „Pięć ran” znalazła się również w finale PEN/Hemingway Award, a także The Andrew Carnegie Medals for Excellence in Fiction and Nonfiction

Amadeo chce zawisnąć na krzyżu

Nowo przybyli nie zamordowali tu wszystkich mieszkańców, przeciwnie, pozbawiwszy ich ziemi, brali sobie za żony ich córki, tworząc mieszane małżeństwa

Z KIRSTIN VALDEZ QUADE
ROZMAWIA MICHAŁ NOGAŚ

Wtym roku Jezusem jest Amadeo Padilla” – to pierwsze zdanie debiutanckiej powieści Kirstin Valdez Quade „Pięć ran”, która właśnie ukazała się w Polsce w przekładzie Agi Zano. Jej akcja rozpoczyna się w Wielkim Tygodniu w stanie Nowy Meksyk, a jeden z bohaterów książki przygotowuje się do ukrzyżowania. Hermanos, męska wspólnota religijna działająca przy lokalnej parafii, przygotowuje widowisko, którego kulminacją jest odtworzenie Drogi Krzyżowej i męki Pańskiej.

Amadeo, 33-letni bezrobotny alkoholik, chce zostać Jezusem i zawisnąć na krzyżu nie tylko po to, by odkupić swoje dotychczasowe grzechy. Wierzy też, że ten gest radykalnie odmieni jego życie i będzie początkiem przemiany. Kiedy jednak w skupieniu przygotowuje się do tego wydarzenia, w progu domu należącego do jego matki pojawia się 16-letnia Angel, owoc nieudanego małżeństwa Amadea. Właśnie uciekła od matki związanej z przemocowcem i zdecydowała przeprowadzić się do ojca oraz babki. Ta ostatnia, Yolanda, spędza Wielki Tydzień w Las Vegas. Gdy nagle trafia do miejscowej kliniki, słyszy, że zostało jej kilka tygodni, może miesięcy życia, w jej mózgu rozsiały się glejak.

Debiutancka powieść Valdez Quade została znakomicie przyjęta w Stanach Zjednoczonych, a autorkę okrzyknięto nadzieją współczesnej literatury amerykańskiej. Colm Tóibín napisał, że pisarka „skupiła się na prawdzie drzemającej w codziennych drobiazgach, jednocześnie pozwalając nam objąć spojrzeniem cały świat”, a Yiyun Li, niedawna rozmówczyni „Wysokich Obcasów”, przyznała: „Nie byłam w stanie odłożyć tej powieści, tak wielkie zrobiła na mnie wrażenie”.

43-letnia Kirstin Valdez Quade mieszka obecnie w Princeton, jest wykładowczynią na jednym z najbardziej prestiżowych amerykańskich uniwersytetów.

Twoja opowieść o kilku pokoleniach nowomeksykańskiej rodziny Padilla jest tak prawdziwa, tak szczerza i pełna detali, że aż trudno uwierzyć, iż ma się do czynienia z fikcją...

Choć „Pięć ran” to wytwór mojej pisarskiej wyobraźni, wiele scen, postaci i zachodzących między nimi relacji zaczerpnęłam z życia. Poukrywałam w tej książce wiele historii mojej własnej rodziny, zmieniając jedynie imiona czy okoliczności, w których padły konkretne słowa. Wymyśliłam też fikcyjne miasteczko Las Peñas, gdzie znajduje się dom rodziny Padilla. Dość szybko zorientowałam się jednak, że odwzorowałam na kartach powieści doskonale znaną mi przestrzeń, miejsce, w którym ja sama przyszłam na świat.

Urodziłam się w Nowym Meksyku, stamtąd pochodzą moi bliscy. I choć przez lata zmieniałam miejsce zamieszkania, podróżowałam – najpierw z rodzicami, następnie sama – po różnych częściach USA, gdy tylko mogę, wracam w rodzinne strony. Jedynie tam czuję się u siebie.

Nowy Meksyk to bardzo specyficzne miejsce. Przez długi czas tereny te były praktycznie odizolowane od reszty świata. Zamieszkiwane przez tysiąclecia przez rdzenną ludność, w XVI wieku zostały podbite przez konkwistadorów i znalazły się w strefie hiszpańskich wpływów. Nowo przybyli nie zamordowali jednak wszystkich mieszkańców, przeciwnie – bardzo często, pozbawiwszy ich oczywiście ziemi, brali sobie za żony ich córki, tworząc mieszane małżeństwa. Dlatego do dziś w żyłach wielu mieszkańców Nowego Meksyku płynie krew przedstawicieli rdzennych plemion i pierwszych osiadłych na tych terenach Hiszpanów.

Wioski budowane przez pierwszych osadników były przez stulecia zamkniętymi społecznościami, a ich mieszkańcy rzadko kontaktowali się nawet z najbliższymi sąsiadami. To z tego powodu język, kultura, zwyczaje każdej wspólnoty różniły się od siebie – zmieniła to dopiero globalizacja. Hiszpańskimi, w którym porozumiewali się moi dziad-

kuje, w małym stopniu przypominał ten, którego używa się kilkaset mil na południe, w Meksyku. Pełno było w nim słów przywiezionych przez konkwistadorów i wywodzących się jeszcze z okresu renesansu. Ten świat przechodzi jednak do przeszłości – kilka miesięcy temu przeczytałam na łamach „The New York Times”, że moje pokolenie jest ostatnim, które potrafi go jeszcze używać. W ciągu kilkudziesięciu lat trafi na listę języków wymarłych.

Rozumiem zatem, że „Pięć ran” to powieść, która w dużej mierze wzięła się z tęsknoty?

I ze stałe obecnej we mnie chęci powrotu, z potrzeby podążania ścieżkami, które znam z czasów dzieciństwa. Rodzina od zawsze była dla mnie wspólnotą najważniejszą, nie umiem myśleć o niej inaczej, jak o zbiorze pokoleń, których przedstawiciele powinni otaczać się wzajemną troską. Oddałabym wszystko, by znów być małą dziewczynką i raz jeszcze trafić pod opiekę prababki, która zajmowała się mną, gdy mama chodziła do pracy. Myślę, iż to właśnie tęsknota za tym, co bezpowrotnie minęło, sprawiła, że jako pisarka czuję się opiekunką rodzinnych historii, że więzy krwi i to, co z nich wynika, są dla mnie tematem najważniejszym. Zrozumiałam to chyba już jako dziecko, choć przecież w sposób nie do końca świadomy – dziadkowie nazywali mnie „małą przeskadzajką”, bo bezustannie kazałam im opowiadać o sobie, o tym, jak się poznali, jakim byli małżeństwem. Przy okazji wyjaśniali mi, jak w XX wieku zmieniał się Nowy Meksyk i które z dawnych zwyczajów i tradycji mimo wszystko przetrwały. Mogę więc chyba powiedzieć, że debiutancką powieść nosiłam w sobie właściwie od dziecka, a materiał, który w niej wykorzystałam, zbierałam od kołyski.

Od samego początku, od pierwszych stron „Pięć ran” to powieść bardzo mocno osadzona w nowomeksykańskich realiach. W stanie, z którego pochodzisz, w Wiel-

kim Tygodniu w wielu osadach odbywają się procesje połączone z odgrywaniem Drogi Krzyżowej i cierpienia Chrystusa. Dlaczego zdecydowałaś się ukrzyżować swojego bohatera?

To wynik mojej fascynacji czymś, co nazywam widowiskowością religii katolickiej. Zjawisko to jest stale obecne na terenach, z których pochodzę.

Ciekawi mnie bardzo, co dzieje się na pograniczu zbiorowego uniesienia i intymnego przeżywania wiary. Sama zresztą mam tego typu doświadczenia - jako mała dziewczynka zostałam obsadzona w roli Maryi podczas jednego z przedstawień odbywających się przy okazji świąt Bożego Narodzenia w mojej rodzinnej parafii. Ładnie ubrana stałam przy ołtarzu, trzymając na rękach plastikową lalkę, która udawała nowo narodzonego Jezusa. Zebrany w kościele tłum się wzruszał, ludzie płakali, a dla mnie była to chwila sławy - poczułam się jak gwiazda, imponowało mi, że wszyscy patrzą na mnie z nabożnym uwielbieniem. W żadnej mierze nie było to jednak dla mnie przeżycie mistyczne, niczego, co miałoby związek z wiarą, wówczas nie doświadczyłam.

Czy w przypadku innych osób może być inaczej? Doszłam do wniosku, że to możliwe - i tak

przyszedł mi do głowy pomysł stworzenia postaci Amadea. Ten sponiewierany przez los, uzależniony od alkoholu, bezrobotny i bezradny mężczyzna w sile wieku decyduje się zostać Jezusem, chce dać się ukrzyżować, bo wierzy, że dzięki temu gestowi, dzięki cierpieniu, które będzie jego indywidualnym doświadczeniem, dozna cudu przemiany. Gdy mój bohater przygotowuje się do wielkopiątkowej procesji, przyznaje w rozmowach ze znajomymi, że wierzy w możliwość wewnętrznej transformacji, ufa, że jeśli gwoździe przeszyją jego ciało, niemal natychmiast stanie się dobrym człowiekiem. „Pięć ran” to więc nie tylko opowieść o wierze w Boga, ale także o naiwności...

Ta książka wzięła się z opowiadania. Ponad dekadę temu „Pięć ran” - w bardzo krótkiej formie - opublikował magazyn „New Yorker”. Co sprawiło, że po latach pojawiła się 400-stronicowa powieść rozpoczynająca się tym samym zdaniem: „W tym roku Jezusem jest Amadeo Padilla”?

Moi bohaterowie mnie prześladowali! Gdy opublikowałam opowiadanie, nie miałam żadnych planów związanych z pisaniem powieści, byłam przekonana, że mam tę historię za sobą. A jednak dwa lata później, gdy zaczęłam pisać zupełnie inny tekst, dotarło do mnie, że znowu piszę o tych samych lu-

dziach. Zrozumiałam, że dwójka bohaterów „Pięciu ran” - Amadeo i jego córka Angel - domaga się ode mnie opowiedzenia kontynuacji ich losów, dotarcia do tego, co wydarzyło się „dzień po”, czyli nazajutrz po ukrzyżowaniu. Czy faktycznie doszło do przełomu? Co czuł, gdy nie zmarł i nie zmartwychwstał, gdy po raz kolejny obudził się w łóżku w domu swojej matki? I być może najważniejsze - czy wytrwał w postanowieniu, że stanie się odpowiedzialnym ojcem i dziadkiem, że 16-letnia córka zawsze będzie mogła liczyć na jego wsparcie? Czy znalazł pracę, przestał pić, odciął się od sprowadzających go na złą drogę kolegów?

Bo znając Amadea, jego deklaracja, która pojawiła się w zakończeniu opowiadania wydanego przeze mnie w 2009 roku, brzmiała jak większość tych, które składamy przy okazji Nowego Roku - zarzekamy się, że będziemy stale uczęszczać na siłownię, ale już w połowie lutego gubimy karnet...

Gdy tylko mogę, wracam

w rodzinne strony.

Jedynie tam czuję się u siebie

Angel, 16-latką, która lada chwila zostanie matką, owoc nieudanego małżeństwa Amadea, wydaje się w twojej powieści osobą najbardziej odpowiedzialną. To ona dba o bliskich, przejmuje się losem dziecka, która ma urodzić, chce, by wokół niej zjednoczyła się mocno doświadczona przez los rodzina oraz - szerzej - lokalna wspólnota.

Dopiero w powieści głos tej kobiety wybrzmiewa w pełni. W opowiadaniu, z którego „wyrosła” książka, całą historię przedstawiałam wyłącznie z perspektywy Amadea - człowieka wściekłego na cały świat i obwiniającego wszystkich o własne niepowodzenia. Kiedy rozbudowywałam opowieść, doszłam do wniosku, że potrzebuję więcej niż jednego spojrzenia na losy rodziny Padilla.

Angel jest całkowitym przeciwieństwem ojca - kocha świat, dba o bliskich, nawet jeśli niezwykle ją irytują, wierzy w sens edukacji, chodzi na kursy przygotowawcze do roli młodej matki, chce dobrego życia dla swojego syna. Choć popełniła wiele błędów, jest i tak najbardziej odpowiedzialną osobą w mojej książce, troszczy się nie tylko o siebie - ta cecha łączy nas obie.

Pomocne przy tworzeniu tej postaci było moje własne doświadczenie. Jestem wykładowczynią, mam więc codzienny kontakt z młodymi ludźmi, słucham ich, rozumiem

ich potrzeby, widzę, w jaki sposób postrzegają świat. Przez pewien czas byłam też wolontariuszką w organizacji non profit w Tucson w stanie Arizona, gdzie pracowałam z grupą młodych matek. Temu spotkaniu zawdzięczam zrozumienie ich potrzeb, to, jak bardzo liczą na wsparcie bliskich i co budzi w nich największy lęk.

Co?

Możliwość odrzucenia przez rodzinę i znajomych, samotność, na którą zostaną skazane. Moja Angel nie doświadcza takiego upokorzenia, spotyka jednak kogoś, kogo porzucili najbliżsi - to jej koleżanka Lizette, która z czasem stanie się jej miłością.

Yolanda, matka i babka, trzecia bohaterka „Pięciu ran”, to postać, którą stworzyłaś specjalnie na potrzeby powieści. Gdy ją poznajemy, dostaje diagnozę - glejak, żadnych szans na leczenie, bliska śmierć.

To osoba, która budzi moją ogromną sympatię. Oddając jej głos, myślałam o znajomych, których zabrał nowotwór. Był wśród nich jeden z moich najbliższych przyjaciół. Odszedł bardzo szybko, nie było dla niego ratunku. Gdy rozmawialiśmy niedługo po postawieniu mu diagnozy, a ja byłam w rozpacz, usłyszałam coś, co mną wstrząsnęło. Powiedział, że czuje się... szczęśliwy. Nie mogłam w to uwierzyć, ale on przekonywał, że to prawda. Mówił: „Wiem, w jaki sposób zakończy się moje życie. Większość z nas nie może tego o sobie powiedzieć”. Przyznał też, że chce doświadczyć każdej sekundy życia, które mu pozostało. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktoś w taki sposób mówił o godzeniu się ze śmiercią, tym, co nieuniknione.

W przypadku Yolandy zależało mi na tym, by postawiła na swoim. Skoro już wie, że pozostało jej niewiele czasu, postanawia skupić się na sobie, zrobić wszystko, by spełnić własne potrzeby i zachcianki. Ona, która przez całe życie poświęcała się dla innych, opiekowała się mężem, synem i wnuczką, teraz - jakkolwiek paradoksalnie to brzmi - odżyje. Choć przez chwilę poczuje, że najważniejszym dla niej człowiekiem jest ona sama. Podoba mi się wybór, którego dokonała - by nie powiedzieć rodzinie o śmiertelnej chorobie. Każdy z nas na własny sposób może tę decyzję interpretować, dla mnie to przejaw absolutnej wolności, do której człowiek dąży przez całe życie. ♦



KIRSTIN VALDEZ QUADE
„Pięć ran”, tłum. Aga Zano,
wyd. Znak

W zgodzie ze sobą

Nie mam w sobie presji, że ktoś musi o mnie coś myśleć. Wchodzę i robię swoją robotę. Sądzę, że to zdrowe podejście. Znam swoje umiejętności, wiem, co potrafię, a czego nie



ZALIA

(ur. 2001) – właściwie Julia Zarzecka, polska wokalistka i autorka tekstów. W 2022 r. wydała swój debiutancki album „Kocham i tęsknię”, jest jedną z gwiazd biorących udział w trasie Letnie Brzmienia

FOT. KLAUDIA PIEKARSKA

Z ZALIĄ, WOKALISTKĄ I AUTORKĄ
TEKSTÓW, ROZMAWIA JUSTYNA GROCHAL

Muzyka pojawiła się w twoim życiu na wczesnym etapie. Pochodzisz z umuzykalnionej rodziny?

Absolutnie nie, ale w domu zawsze było dużo muzyki. Mama bardzo dużo jej słuchała, przede wszystkim Maanam. Gdziekolwiek jechałyśmy autem, zawsze puszczałyśmy sobie płyty, których miałyśmy całą kolekcję. Jednak ani rodzice nie są muzykami, ani dziadkowie. To jest droga, którą sobie wymarzyłam i obrałam sama.

Jak się zaczęło?

Już jako dziecko, bawiąc się lalkami, wcielałam się w piosenkarki, wymyślałam teksty, które nie miały sensu. Raz poszłam na koncert muzyki klasycznej. To był występ szkoły muzycznej, więc grały dzieci. Tak mi się spodobało, że postawiłam mamie ultimatum: „Nie pójdę do podstawówki, jak mnie nie zapiszesz na skrzypce”. Pamiętam, że trochę się przeraziła. Przestrzegła mnie, że w takim razie nie będzie już tyle wychodzenia na podwórko. Poszłyśmy ostatecznie na egzamin. Przez sześć lat chodziłam do szkoły muzycznej, potem do Warszawskiej Akademii Musicalowej. Tak właśnie muzyka zakorzeniła się w moim życiu i została.

Wybrałaś sobie dość trudny instrument.

To prawda, ale pamiętam, że bardzo mi się podobał efekt stania ze skrzypcami. Uważałam, że wygląda się z nimi elegancko. Skrzypce mnie fascynowały, ostatecznie jednak ze względów zdrowotnych musiałam z nich zrezygnować. Zaczęłam grać na fortepianie, do którego mnie zawsze ciągnęło. Podobało mi się, że jednym uderzeniem tak łatwo można wydobyć z niego dźwięk.

Mysłałaś wtedy o sobie w kategoriach profesjonalnej instrumentalistki?

Wiedziałam, że jeśli miałabym być wybitną pianistką, musiałabym wiele godzin dziennie spędzać na ćwiczeniach, a ja się do tego po prostu nie nadaję. Zawsze bardzo lubiłam grać, to mnie uspokaja. Jak jestem chora i siedzę całe dnie w domu, bardzo dużo gram na fortepianie. Nigdy jednak nie widziałam siebie w roli instrumentalistki, bo czułam, że jestem w tym przeciętna. Fortepian to zawsze była przyjemność, a nie obowiązek i praca.

Kiedy odkryłaś, że muzyka może być twoim sposobem ekspresji?

Bardzo wcześnie - chyba w wieku sześciu czy siedmiu lat. Chodziłam na zajęcia taneczne, tworzyłam domowe musicale, choreografie. Mój pierwszy telefon był całkowicie zapchany filmami, piosenkami i teledyskami, które sama nagrywałam. Pamiętam, że pisałam pol-

skie teksty do angielskich piosenek, na przykład do „Wrecking Ball” Miley Cyrus. To była moja rozrywka. Muzyka była formą ekspresji w zabawie i zabawy przez kreatywność. Zawsze bardzo to lubiłam.

Powiedziałaś kiedyś, że frustrowało cię to, że w muzyce jesteś tylko odtwórcza.

Miałam poczucie, że wykonuję dużo muzyki, ale ona nie jest moja. Głównie były to piosenki musicalowe, w których mój głos nie brzmiał tak, jak bym tego chciała. Czułam, że niby robię rzeczy kreatywne, ale bardziej odtwórcze. Grałam jakąś postać w musicalu, śpiewałam czyjeś utwory, w szkole muzycznej miałam konkretne piosenki do zaliczenia, np. aktor-ską. Nie odnajdywałam się w tym. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że to nie do końca jest to, co chcę robić z muzyką. Jednocześnie zastanawiałam się, czy ja w ogóle umiem pisać piosenki, czy się do tego nadaję, czy mam do tego talent. A może jestem skazana na śpiewanie tylko czyichś numerów? Czy nadejdzie czas, że napiszę i wydam swoje piosenki? Zaczęło mnie to zjadać.

Nie mam dzieci, nie mam bardzo poważnych obowiązków, nie będę pisać o przemijaniu

Przełomem było napisanie pierwszej piosenki?

Zdecydowanie. To był w ogóle jeden z najlepszych dni mojego życia. Byłam na egzaminach do szkoły muzycznej. Siedziałam na ziemi, przy ścianie, gdy podszedł do mnie chłopak. Mówi: „Cześć, ty jesteś Julia Zarzecka? Obserwuję cię na Instagramie, super śpiewasz. Może chciałabyś kiedyś spotkać się i stworzyć numer?”. Zrobiłam wielkie oczy, bo nigdy wcześniej nie napisałam żadnego utworu. Ale powiedziałam, że chętnie spróbuję.

Umówiliśmy się, byłam niesamowicie zestresowana. On świetnie grał na pianinie, zaczęliśmy jammować i nagle wymyśliłam pierwszą w życiu melodię. Byłam zaskoczona, że mogę sama wykreować coś muzycznie, a nie tylko śpiewać piosenki Amy Winehouse czy Adele. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, jak wychodząc wtedy od niego. Całą drogę do domu słuchałam tej demówki. Myślałam: wow, to jest moje.

Zdecydowałaś, że będziesz kontynuować edukację muzyczną, mimo że mogłabyś skupić się tylko na rozkręcaniu kariery. Po co ci studia muzyczne?

Mam poczucie, że cały czas trzeba się doskonalić. Lubię się uczyć. Chciałabym kiedyś stworzyć muzykę filmową, to był jeden z moich

modułów na studiach. To, że ciągle pracuję nad zdolnościami aranżacyjnymi, rozwija mnie jako artystkę i performerkę. Jestem w stanie wytłumaczyć zespołowi, o co mi chodzi na scenie. Rozwijam przez to też kreatywność muzyczną. Mam wrażenie, że czegośkolwiek się uczę, ma wpływ na wszystkie obszary muzyki, którą zajmuję się na co dzień.

Wiedza dodaje ci pewności siebie w pracy?

Często gdy pracuję ze starszymi osobami, na ogół mężczyznami, na początku mają podejście: „O, przyszła dziewczynka, ciekawe, co będzie sobie śpiewała”. A kiedy konkretnie mówię, że „w ósmym taktie coś mi nie gra” albo że zagrałabym jakiś akord inaczej, czyli zaczynam posługiwać się terminologią muzyczną, automatycznie zyskuję w ich oczach.

Ale nie mam w sobie presji, że ktoś musi o mnie coś myśleć. Wchodzę i robię swoją robotę. Sądzę, że to zdrowe podejście. Znam swoje umiejętności, wiem, co potrafię, a czego nie. To, jak ktoś będzie chciał mnie ocenić, jest percepcją tej osoby, nie moją. Ale rzeczywiście wiedza muzyczna daje mi dużo

pewności siebie. Nawet na próbie, gdy ktoś robi aranż do mojej piosenki albo do tej, którą mam śpiewać, mogę dokładnie powiedzieć, o co mi chodzi, i zajmuje to 10 sekund. Jasny, klarowny przekaz skraca czas pracy.

A jak odnajdujesz się w takim męskim świecie jako młoda dziewczyna?

Zawsze byłam trochę chłopczycą, więc mam chyba większą łatwość dogadywania się z chłopakami. Cały mój band to faceci, którzy są moimi przyjaciółmi, więc absolutnie nie traktują mnie z góry.

Miałam parę sytuacji, gdy czułam, że ktoś chciał umniejszyć moją wartość, pokazać wyższość albo mnie zawstydzić. Bardzo się cieszę, że takich zdarzeń było niewiele. Polska branża muzyczna jest mała, ludzie się znają, więc chyba każdemu zależy, żeby się pokazać z tej lepszej strony. Coraz więcej mówi się o dyskryminacji, złym traktowaniu, mobbingu, więc może coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z takich zachowań i zaczyna rozumieć, że im się po prostu nie opłacają. Sądzę, że lepiej się wzajemnie wspierać, a jeśli jest się bardziej doświadczonym, to zwracać uwagę z kulturą i wyrozumiałością dla drugiej osoby. Myślę, że ta zmiana zachodzi, a przynajmniej ja trafiam na takich właśnie ludzi i jestem za to bardzo wdzięczna.

Zdecydowałaś się na studia w Londynie, jednocześnie podpisałaś kontrakt na wydanie płyty w Polsce. Trudno było godzić te dwa światy?

Dwa lata w Londynie to jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia. Nie ukrywam

jednak, że było to bardzo męczące i kosztowało mnie sporo energii – ciągle loty, wstawanie o czwartej, dojazdy itd.

Poznałam tam wielu przyjaciół, stworzyłam sobie takie drugie życie. W Polsce pracuję muzycznie i rozwijam karierę, tam wracałam i byłam studentką. Żyłam wolniej, uczyłam się, spędzałam czas ze znajomymi. W Polsce mieszkalam z mamą, tam z przyjaciółką, więc to dwa zupełnie inne doświadczenia. Naprawdę zaczęłam czuć się tak, jakbym prowadziła dwa życia w tym samym czasie. Znajomi mówili, że jestem jak Hannah Montana i mam „the best of both worlds”.

Pomiędzy studiami tworzyłaś debiutancką płytę. Opowiedz o pracy nad „Kocham i tęsknię”.

Wszystko działo się bardzo dynamicznie. Wrzuciłam w eter piosenkę „Sierpień” i obserwowałam, co się stanie. Nie miałam żadnych oczekiwań. Utwór został dobrze przyjęty, więc uznałam, że będę robiła kolejne single. Dosłownie – pisałam piosenkę, dopieszczałam ją i wydawałam. To wszystko korespondowało z moim życiem, było bardzo impulsywne, energetyczne, szybkie. W ogóle tego nie żałuję. Uważam, że tak widocznie z tą płytą musiało być. Jestem z niej dumna.

Ostatni tekst – do piosenki „Przestrzeń” – skończyłam, gdy wprowadziłam się do nowego mieszkania w Londynie. To był moment, kiedy po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się spokojna. Udało się wynająć mieszkanie, byłam świeżo po trasie, przed premierą płyty. W końcu miałam przestrzeń dla siebie.

Nazywasz tę płytę pamiętnikiem, zapisem ważnego etapu życia. Miewałaś momenty, w których myślałaś, że może za bardzo się odsłaniaasz?

Myszę, że tylko z taką muzyką ktoś jest w stanie się utożsamić. Największa grupa moich

LETNIE BRZMIENIA

Zalia wystąpi w projekcie Babie Lato podczas cyklu koncertów Letnie Brzmienia (23-24.06 Bielsko-Biała, 30.06-1.07 Kraków, 7-8.07 Rzeszów, 21-22.07 Lublin, 28-29.07 Warszawa, 4-5.08 Łódź, 11-12.08 Gdańsk, 18-19.08 Wrocław, 1-2.09 Poznań)

sluchaczy to ludzie w podobnym do mnie wieku, przedział 18-25 lat. Mamy podobne doświadczenia.

Nigdy nie udawałam i nie będę pisać o rzeczach, które mnie nie dotyczą. Mam 22 lata, to jest wiek poszukiwań, doświadczania różnych rzeczy. Piszę głównie o emocjach, tęsknocie, powrotach do Warszawy, przeżyciach miłosnych. Wokół tego kręci się teraz moje życie. Nie mam dzieci, nie mam bardzo poważnych obowiązków, nie będę pisać o przemijaniu albo sensie istnienia, udawać, że jestem dojrzała, niż jestem. Chcę być w zgodzie ze sobą.

Twoje ostatnie lata były bardzo intensywne. Masz przekonanie, że na wszystko trzeba sobie zapracować?

Nie ma nic za darmo. Myszę, że jestem pracowitką, chociaż czasem zapominam, ile w tym wszystkim, co robię, jest mojej pracy. Chyba dlatego, że przestałam postrzegać niektóre sytuacje jako wyrzeczenia. Biorę je po prostu jako część swojego życia, coś normalnego. A rzeczywistość to kursowanie pomiędzy krajami czy kręcenie klipu między pisaniem analizy utworu jazzowego do licencjatu to były wyrzeczenia, które kosztowały mnie sporo wysiłku, przede wszystkim fizycznego.

Czasami się nie doceniam. Wręcz potrafię winić się za to, że robię za mało. A potem zdaję sobie sprawę, że nie mam czasu wyjść z psem i wtedy myślę: okej, nie robisz za mało. Ważne jest, żeby umieć się w tym wszystkim doceniać i pamiętać, gdzie się było i ile się poświęciło, żeby rozwijać się w wybranym kierunku.

A co lubisz robić dla siebie, żeby zregenerować siły i odpocząć?

Bardzo lubię spacerować. Obok domu w Londynie mam taki stary cmentarz – Brompton Cemetery – który jest najpiękniejszym cmentarzem, jaki widziałam. To właściwie park z kawiarnią na środku. Byłam tam codziennie – słuchałam muzyki, demówek, pisałam licencjat, teksty utworów. Znajomi z Londynu nawet żartowali, że tamtejsze duchy cmentarne mnie lubią i nagradzają ładną pogodą, bo jak oni tam chodzą, zawsze leje.

Mam wrażenie, że z wiekiem coraz bardziej potrzebuję takiego połączenia ze sobą. Przebywanie w ciszy i spokoju w lesie, parku czy po prostu wśród naturalnych dźwięków przyrody bardzo mnie wycisza i pozwala uciec od tego życiowego pędu. Odkładałam wtedy telefon, siedzę, obserwuję ptaki, drzewa i po prostu jestem. Doceniam taki czas.

Ostatnio z polskimi artystkami nagrałaś utwór „Cudowne lata” promujący projekt Babie Lato w ramach trasy Letnie Brzmienia. Wcześniej pracowałaś głównie z mężczyznami. Jak odnalazłaś się w tym kobiecym gronie?

To było przepiękne doświadczenie. Dziewczyny, które biorą udział w Babim Lacie, to jest girl power. To są kobiety, które dobrze sobie życzą, wspierają się i wymieniają pozytywną energią. Lubimy się i inspirujemy nawzajem. To jest w tym projekcie najpiękniejsze. Jestem wdzięczna, że mogę stać na jednej scenie z takimi kobietami i brać w tym udział.

Twórczynią piosenki jest Natalia Kukulska, my pojawiajemy się w roli wykonawczyń. To było ciekawe, bo częściej jestem twórczynią, interpretuję własną muzykę. Tutaj śpiewam coś, czego nie napisałam, więc musiałam odnaleźć swoją tożsamość, głos, brzmienie. Bardzo cieszę się na koncerty, bo będziemy grać swoje najbardziej znane piosenki, ale też cove-ry utworów z motywem girl power, w świetnych aranżacjach z dużą orkiestrą. Myszę, że to będą naprawdę przepiękne koncerty. ♦

REKLAMA

9. **Olsztyn green FESTIVAL**
11-12-13 sierpnia 2023



DAWID PODSIADŁO



NOSOWSKA

ZALEWSKI
ŚPIEWA NIEMENA

BRODKA

i inni

ORGANIZATORZY:

AGORA. wyborcza.pl

WSPÓŁORGANIZATOR:

OLSZTYN

PARTNER STRATEGICZNY:

NAL NALĘCZOWIANKA

PARTNER STRATEGICZNY:

PERŁA

PARTNER EKO:

dobra energia

PARTNER TERENU:

OSIR

PARTNERZY:

Kinder Bueno

MICHELIN

instax FUJIFILM

GARNIER

VES

TYMBARK

PATRONI MEDIALNI:

wyborcza.pl

ZET

ams

HELIOS

WP

Rzeczni.pl

HIRO

helios media

CGM

eBilet

empikybilety

Going

BILETOMAT

kicket

BILETY:

Luk

TIGER

Nulii

MPEC

zook

Auro

GALERIA WARSZAWSKA

Inka

COCOA

Dorota Greniuk,
założycielka grupy
Give Her a Job

Chcesz pomóc? Daj jej *pracę*

- Możemy dać sobie siłę - mówi Dorota Greniuk, założycielka grupy Give Her a Job, na której kobiety szukają pracy i ją dają. W tej chwili grupa liczy blisko 170 tys. osób



Dominika Muszyńska, która prowadzi sklep z ubraniami Paprotka Vintage



Anna Grochocka, twórczyni marki Leaf Pillows

TEKST IZABELA O'SULLIVAN

Zaczął się tak: Dorota na początku pandemii straciła pracę w marketingu w branży turystycznej. Na facebookowej grupie Quarantine Outfitters Daily, na której ludzie pokazywali, jak się ubierają, pracując zdalnie, wrzuciła post w innym tonie: „Idę podpisać wypowiedzenie”. Chwilę później dostała mnóstwo wsparcia: „Mnie również to dotknęło”, „U nas też zwolnienia”, „Nie wiadomo, co będzie dalej, ale musi się jakoś ułożyć”. – Pomyślałam wtedy, że założę osobną grupę, bo skoro w takiej sytuacji jak ja jest tyle innych kobiet, to możemy dać sobie siłę. Poprosiłam o pomoc przyjaciółkę Alicję Lechat i 4 kwietnia 2020 roku zamieściłam pierwszy post – opowiada Dorota Greniuk, pomysłodawczyni grupy Give Her a Job, na której kobiety szukają pracy i ją dają, ale też wzajemnie się motywują, wspierają i radzą sobie w kwestiach zawodowych. W tej chwili liczy blisko 170 tys. członków.

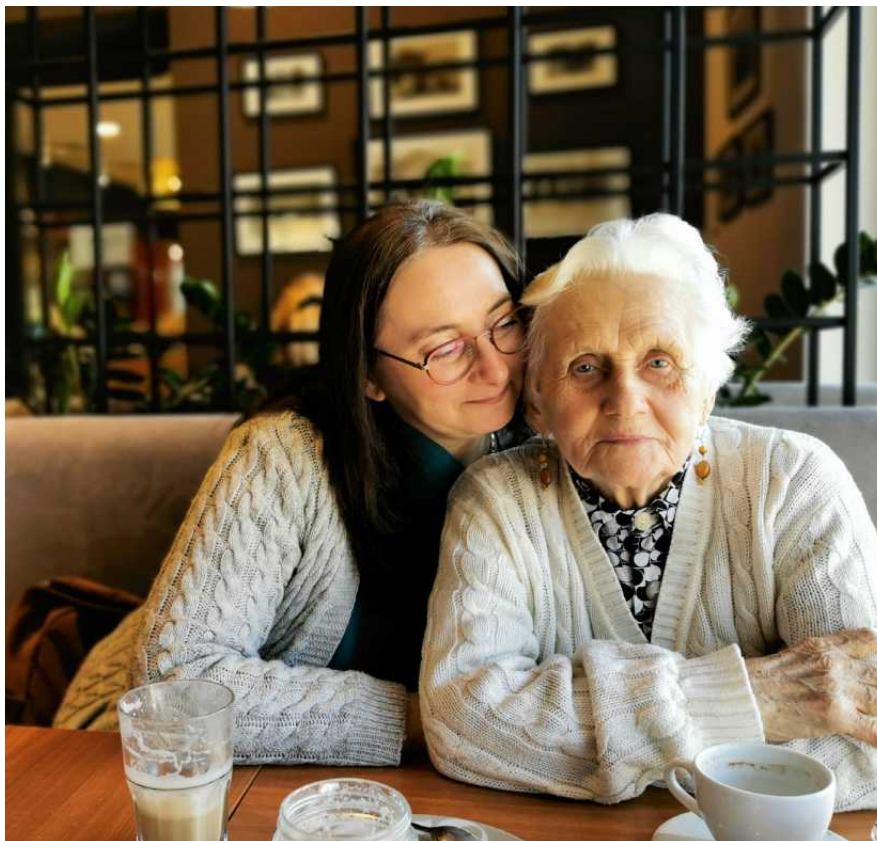
Najwięcej jest tych w wieku od 24 do 35 lat, które zastanawiają się, co dalej. Chcą zmienić branżę albo otworzyć własną działalność, mają za sobą pierwszą pracę. Część

po urodzeniu dziecka planuje powrót do życia zawodowego. – Zależało mi, aby powstała przestrzeń, w której będzie się można koleżankować, podzielić doświadczeniem i znaleźć partnerkę do rozmowy. Tworzenie takiej wspierającej społeczności to równie ważna misja grupy jak szukanie pracy czy zleceń – podkreśla Dorota.

Jaki wyłania się obraz Polki pracującej? – Walcząca ze schematami i za mało wierząca w siebie. Mająca umiejętności, ale niedostrzegająca swoich atutów. Często to ma doświadczenie, zna świetnie język obcy, a potrafi powiedzieć, że nic nie umie – opisuje Dorota. Wiele postów dotyczy CV – dziewczyny pomagają sobie tworzyć je tak, by było atrakcyjne.

Czasem pomoc jest konkretna i kończy się znalezieniem pracy, tak jak w przypadku Karoliny. Ma 30 lat, ukończyła studia magisterskie z dyplomacji europejskiej i poddyplomówkę z gender studies. Robi doktorat z nauk o polityce (bada sytuację romskich kobiet w Polsce), wcześniej zdobyła uprawnienia na wózki widłowe. Jej przedostatnią pracą był sklep z tkaninami, pracowała również m.in. na zmywaku, w szpitalnej pralni i prowadziła islandzki pensjonat.

– Nie podchodzę do tego tak, że tamte prace były poniżej moich kompetencji. Często nie doceniamy, ile można się nauczyć w różnych miejscach – mówi. Z podobnym nastawieniem napisała na grupie Give Her a Job. Szukała czegoś nowego, bo w sklepie z tkaninami poczuła wypalenie. W piątek poinformowała szefa, że chce odejść, w sobotę zamieściła post. Tego samego dnia odezwała się do niej dziewczyna o imieniu Ania z pytaniem, czy Karolina ogarnia Excela i jak z jej angielskim. We wtorek zadzwoniła rekruterka i zaprosiła na rozmowę kwalifikacyjną. Tydzień później Karolina miała nową pracę. – To duża firma zajmująca się sprzętem i rozwiązaniami IT. Sama nigdy nie złożyłabym w takim miejscu CV, głównie dlatego że nie wierzyłam w swój angielski. A właśnie mija pół roku, od kiedy tam pracuję, i jestem bardzo zadowolona. Mam świetny zespół, dobre warunki umowy, benefity i opcję wolontariatu w trakcie godzin pracy. A przede wszystkim uczę się mnóstwa nowych rzeczy – opowiada. Z Anią, która poleciła ją na to stanowisko, spotkały się na herbatę w pierwszych dniach pracy Karoliny w firmie. – Powiedziała, że mi pomogła, bo miałam pocieszny wpis. Zapewniła też,



Natalia z mamą Halinką, która maluje obrazy w ramach arteterapii techniką intuicyjną

że mogę do niej przyjść zawsze, gdybym miała problem albo chciała o coś zapytać.

ODWAGA

Give Her a Job to też miejsce budowania biznesowych relacji. Dzięki tej wymianie wiele kobiet zaczęło ze sobą współpracować, część założyła własne biznesy. Co wtorek można promować swoje usługi albo pochwalić się własnymi dokonaniem.

Anna Grochocka, twórczyni marki Leaf Pillows, pracowała w prywatnej firmie, w której zajmowała się konstrukcją odzieży. Odeszła, gdy na początku pandemii zaczęły się rozszady i kombinowanie z umowami. Do szycia roślinnych poduszek zachęciła ją przyjaciółka, podała też link do grupy Give Her a Job. - Pokazałam, co tworzę, i dostałam fajny odzew. Dziewczyny pisały, że poduszki im się podobają, że chcą kupić, albo po prostu lajkowały i udostępniały post. Ich reakcje zachęciły mnie do otworzenia działalności gospodarczej - mówi Ania. Potem jeszcze wiele razy pokazywała na grupie swoje projekty, bo szybko poszerzyła asortyment. - Gdy zaczynałam, pracowałam w kąciku sypialni. Od maja

ubiegłego roku mam już własną pracownię. Startowałam z trzema modelkami poduszek, teraz mam ich prawie 50. Zainwestowałam też w sprzęt - opowiada. Grupa przyniosła Ani nowe kontakty. Z dwiema dziewczynkami, które również zajmują się rękodziełem, stworzyły prywatną grupę Mastermind. Omawiają na niej sprawy biznesowe, wątpliwości na temat przepisów prawnych czy podatkowych, doradzają sobie i dyskutują o nowościach. Inne członkinie Give Her

sób dużo relacji - mówi. - Ta grupa przyciąga bardzo serdeczne osoby. Dla mnie to prawdziwy girl power.

Doświadczyla go też Dominika Muszyńska, która prowadzi sklep z ubraniami Pa-protka Vintage we Wrocławiu. Przed pandemią jeździła pokazywać swoją ofertę na targi do większych miast i często pytano ją, czy działa stacjonarnie. Wtedy jednak pracowała w bibliotece i dopiero marzyła o własnej działalności. Pomysł kiełkował przez trzy lata. W międzyczasie zrobiła kurs na UX designera (osobę odpowiedzialną za zwiększenie satysfakcji klienta z danego produktu czy usługi) i obserwowała, co się dzieje na grupie Give Her a Job. - Na wtorkowej autopromocji zaczęło się reklamować mnóstwo małych biznesów i wtedy pomyślałam: czemu by nie spróbować, skoro innym się udaje? - mówi Dominika. Gdy napisała, że sprzedaje ubrania vintage, i pokazała swoją ofertę, dziewczyny zaczęły pytać, czy prowadzi sprzedaż wysyłkową i gdzie można ją spotkać stacjonarnie. - To był bodziec do tego, żeby pomyśleć o takim miejscu. Wzięłam udział w przetargu na wynajęcie lokalu od miasta i go wygrałam, a potem zaczęliśmy z tatą remont - opowiada. - Post zamieszczony na grupie przełożył się na większą liczbę obserwujących mój profil na Instagramie i na wizyty w sklepie. Często ktoś mówi, że dowiedział się o mnie właśnie na grupie.

Dzięki tej wymianie wiele kobiet
zaczęło ze sobą współpracować,
część założyła własne biznesy

Co wtorek promują swoje usługi

a Job, zachwycone Ani projektami, zgłosiły ją do programu „Pani Gadzet”, odzywały się też lokalne media i autorki blogów. Stara się oddać to, co dostała. - Regularnie śledzę, co dzieje się na grupie. Po postach autopromocyjnych zaglądam w podawane przez dziewczyny linki. Wiem, jak ważne jest udostępnianie. Wiele razy pisałam też komuś, że robi fajne rzeczy, i nawiązałam w ten spo-

Nie zawsze chodzi o kwestie stricte zawodowe. Czasem ktoś chce zrealizować jakieś przedsięwzięcie i potrzebuje się upewnić, że idzie dobrym torem, albo szuka osób, które go w tym wesprą. Natalia ma chorującą na alzheimera mamę. Postanowiła jej pomóc poprzez arteterapię i nakłoniła do kolorowania mandali, a potem do malowania abstrakcji farbami akrylowymi. Po kilku miesiącach, gdy obrazów było już kilkadziesiąt, zaczęły rozmawiać o wystawie. Na grupie Give Her a Job opowiedziała o tym pomysle i poprosiła: „Może któraś z Was ma niepotrzebne już farby akrylowe? Płótna? Panele malarskie?”. Odezwało się kilkadziesiąt kobiet, oferując nie tylko materiały, ale też wsparcie finansowe i pomoc w organizacji wernisażu. Jedna udostępniła lokal, inna wydrukowała plakaty, pocztówki i cegiełki, kolejna doradzała w kwestiach związanych ze sztuką i dokumentacją fotograficzną. - Napisały do mnie psychogerontolożka, psycholożka i terapeutka zajęciowa - opowiada Natalia. - Jedna z nich zgodziła się podczas wernisażu poprowadzić prelekcję, dwie pozostałe - zorganizować konsultacje online dla opiekunów osób z chorobami otępiennymi. Dzięki grupie poznałam też Weronikę, która prowadzi na Instagrama

nie profil o twórczości mojej mamy (Malunki Halunki).

ZA ILE?

Hejt? - Czasami się zdarza. Głównie wtedy, gdy pojawi się ogłoszenie o pracy, w którym nie ma widełek finansowych, albo gdy ktoś za nisko wyceni pracę na danym stanowisku - mówi Dorota. Pieniądze to jeden z często przewijających się wątków. Można porównać zarobki w branży albo poradzić się, jak wycenić jakąś usługę. - Dziewczyny często na grupie dowiadują się, ile jest warta ich praca. I to może być bodziec do zmiany albo utwierdzenie w przekonaniu, że są w dobrym miejscu - dodaje.

Wika ukończyła kurs marketingu internetowego, potem w ramach programu zgłosiła się na staż do jednej z warszawskich firm. Po trzech miesiącach padła propozycja, żeby została. - Staż był opłacany z Unii, więc miałam zagwozdkę, o jakiej kwocie rozmawiać z pracodawcą - opowiada. Zapytała na grupie, czy powalczyć o wyższą pensję, czy odpuścić. Dziewczyny pisały w komentarzach, że stawka, którą ma, jest atrakcyjna. - Trochę mnie to zbiło z panatyku, bo ich reakcja świadczyła o tym, że

w marketingu są niższe zarobki, niż myślałam - mówi. - Zaczęłam się zastanawiać, czy to kierunek, w którym chciałabym iść. Ale jestem już po rozmowie z szefem i zaakceptowałam moją propozycję. Zostaję na takich samych warunkach, jeśli chodzi o liczbę godzin i pensję. Gdyby dziewczyny na grupie twierdziły, że powinnam walczyć o więcej, pewnie bym to zrobiła. Ale pokazały mi, że to, co mam, jest fair.

Dorota, założycielka Give Her a Job, ostatnio poczuła, że czas zatoczył koło. Na początku lutego zmarła jej mama. - Jest mi strasznie ciężko, ale nie siedzę i nie płaczę, tylko mówię: „Trzeba działać”. Tak jak wtedy, po stracie pracy na początku pandemii, postanowiłam pomóc sobie, a przy okazji też innym, tworząc grupę, tak teraz chcę założyć fundację. Zamierzam robić stacjonarne warsztaty i szerzyć edukację w kontekście pracy. Razem z ekspertkami podpowiadać, jak stworzyć CV czy przygotować się do rozmowy kwalifikacyjnej, jak rozmawiać o finansach - wlicza. - Chciałabym też pomóc kobietom, które wracają do pracy po dłuższej przerwie. Fundacja ma dawać konkretne i dobrane wsparcie. A grupa nadal będzie szła swoim torem. ♦

REKLAMA

3M Science.
Applied to Life.™

Zmieniaj przyszłość

- wspieramy różnorodne talenty, by tworzyć lepsze jutro

You're in good company

www.3M.pl/kariera

Dołącz do 3M



Bobnięci

Zaczął się sezon na bób, a taki młody prażony na patelni to jest, za przeproszeniem, z angielska „game changer”



TEKST BASIA STARECKA
ZDJĘCIA ALICJA LESIAK

Co roku o tej porze robię przegląd kuchennej szuflady z patelniami. Wywalam te sfajczone i inwestuję w nowe. Konieczne takie o grubym dnie. W kuchni warto mieć grube dno. Dotyczy to nie tylko patelni, lecz także garnków. Raz, że takie utensylia dłużej pożyją, dwa, ryzyko, że coś się na nich przypali, jest jednak mniejsze. Równomiernie się nagzewają, lepiej przewodzą ciepło. Z grubym dnem można się w życiu poczuć nieco pewniej.

Tym bardziej że trochę będziemy fajczyć. Zaczął się sezon na bób, a taki młody prażony bób z patelni to jest, za przeproszeniem, z angielską „game changer”. Lata temu przywiozłam ten przepis z Podlasia. Od tamtej pory poluję na pierwsze woreczki bobu rzucone na stragany. Na młody bób ze skórką jeszcze niewinna, delikatna jak pergamin, skrywająca aromatyczny środek najbardziej „bobicznego” momentu w życiu bobu. Jest w jego zapachu obietnica pięknego lata, beztroskiego bimbania w hamaku, grania na żdźble trawy i gapienia się prosto w wycekane słońce.

PRAŻONY BÓB Z PATELNI

500 g młodego surowego bobu

30 ml oleju

ulubione przyprawy, np. czosnek, chili
czy wędzona papryka

świeży koperek, natka czy tymianek
albo chmurka parmezanu

Bób myjemy i porządnie osuszamy. Sięgamy po patelnię z grubym dnem i porządnie ją rozgrzewamy. Osuszony bób rzucamy na suchą, ale już gorącą patelnię. Nie ruszamy bobu ani patelni przez pierwszą minutę. Powstrzymujemy się, bo ręka będzie świerzbic. Skórka bobu w tym czasie z hukiem będzie strzelać, a nawet może nam prysnąć znieścacka prosto z bobowego jestestwa. Zmniejszamy wtedy ogień na średni i co jakiś czas mieszamy bobik, by równomiernie się uprażył. Nie bójmy się go lekko przypalić, bo dzięki temu będzie miał dymny aromat niczym z ogniska. To wszystko nie zajmie nam jednak więcej niż pięć minut. Po tym czasie wlewamy olej na patelnię. Bób zacznie intensywnie skwierzeć i dalej się zezłacać. Teraz dorzucamy do niego swoje ulubione przyprawy – czosnek, chili czy wędzoną paprykę – mieszamy, solimy, zdejmujemy z patelni. Uśmiechamy się do siebie i serwujemy. Możemy dorzucić jeszcze świeży koperek, natkę czy tymianek albo chmurkę parmezanu. Sprawdzamy, czy jesteśmy już wystarczająco bobnięci.

A w takim rzuconym na rozgrzaną patelnię – wspomnienie pierwszych kolonii i wakacji pod namiotem. Prażony bób pachnie ogniskiem. Parzy nieco w paluszki, ale smakuje lepiej od popcornu czy chipsów. Odkrycie tego przepisu sprawi, że zaczniecie monitorować ceny bobu. Ten prażony na patelni schodzi na kilogramy, więc można na niej przepalić naprawdę gruby pieniądz.

Prosty, ale spektakularny przepis na potrawę, którą możecie ogarnąć zarówno na biwaku, jak i planując gruby bankiet w domu. Bankiet dla bobniętych, a tych na świecie przecież nie brakuje. Wystarczy patelnia, bób i olej. Można się oczywiście pokusić o więcej. Pod koniec prażenia dodać np. czosnek w duceje z chili. Świetnie się tu sprawdzi koreańskie chili, czyli winno-owocowe gochugaru. Wędzona papryka podbije nasze skojarzenia z ogniskiem, a czarnuszka – wrażenie pewnego wyrafinowania. Wielbiciele azjaty-zowania przepisów mogą sięgnąć po pikantną koreańską pastę guchujang czy japońską miso, zmieszać jedną albo drugą z odrobiną masła i dać mu się w takim wydaniu rozpuś-

cić pod koniec prażenia. Kluczowa jest sól, może być ta w płatkach, taka bardziej dekadenccka. Czasami podaję bób ze świeżo posiekany koperkiem lub natką pietruszki albo pod kołderką z dopiero co zestruganego parmezanu. Bobu nie trzeba obierać, można go zjadać w całości, ze skórką. Ta w trakcie prażenia wystarczająco bowiem mięknie, podobnie jak środek bobowego jestestwa. Innym patentem na bankiet dla większej liczby bobniętych jest upieczenie surowego bobu. Wystarczy go wysypać na blachę – na raz powinno się zmieścić z półtora kilograma przy jednej warstwie – otłuścić nieco olejem i wstawić do nagrzanego piekarnika na parę minut. Najlepiej pod górną grzałką, żeby się spektakularnie przyrumienił. Pieczenie jednak wysusza nieco skórę, która przez to twardnieje. To się i tak wydarzy wraz ze spadającą ceną bobu w sezonie. Z czasem staje się bowiem coraz bardziej mączysty i opancerzony mocniejszą lupinką. Dalej go można wtedy prażyć, wystarczy tylko mocniej go później cmoktać i całować. Ale czy nie o to w tym wszystkim trochę chodzi? ♦



MĘSKA TUBKA

Lekki krem do twarzy z SPF 30 chroniącym przed UVA, UVB, IR i HEV, z witaminą C i prebiotykami. Nadaje się do każdego typu skóry: suchej, tłustej, mieszanej, a także wrażliwej. Formuła o lekkiej konsystencji łatwo rozprowadza się na twarzy, nie bieli i szybko się wchłania (50 ml / 139,90 zł).



ŚWIEŻO I TĘCZOWO

Płyn micelarny do skóry wrażliwej 3w1 od Garnier obchodzi w tym roku 10. urodziny. W czerwcu dostępny jest w limitowanej, tęczęwej odsłonie. By wesprzeć społeczność LGBTQIA+, firma Garnier nawiązała współpracę z organizacją Heritage of Pride i przyłączyła się do czerwcowych obchodów Pride Month - Miesiąca Dumi (400 ml / 23 zł).

WIATR OD KORSYKI

Kolejny zapach z kolekcji Eaux de Parfum Remarquables marki Le Couvent autorstwa Jeana-Claude'a Elleny. Sperone to piękny zakątek Korsyki z białym piaskiem, turkusowym morzem i suchym, przesyconym aromatami powietrzem. Wiatr od morza unosi tam wieczorami intensywne zapachy krzewów czystka i kwiatów nieśmiertelnika. Dlatego perfumy Sperone są korzenne, ambrowe i drzewne (100 ml / 499 zł, Douglas).



DO ŹRÓDEŁ

Francuska marka Roger & Gallet debiutuje w Polsce. Jej tradycje sięgają 1806 r., kiedy Jean-Marie Farina stworzył wodę kolońską zawierającą esencje z lawendy, rozmarynu, tymianku, petitgrain i nuty cytrusowe. Roger & Gallet korzysta z tej oryginalnej receptury (100 ml / 190 zł, superpharm.pl).



SZARE NIE ZNACZY NUDNE

W minimalistycznych opakowaniach kryją się skuteczne kosmetyki pełne naturalnych składników. Twórca marki The Grey („grey” to „szary”) uważa, że pielęgnacja powinna być prosta, wygodna i efektywna. Overnight Sleeping Mask to wielozadaniowa całonocna maska do twarzy w żelu. Nawilża, rozjaśnia, wzmacnia i koi skórę podczas snu. Nie klei się. Nie zawiera parabenów, pochodnych ropy naftowej, SLS-ów, substancji zapachowych ani alkoholu (50 ml / 310 zł, galilu.pl).

WODNY ŻYWIÓŁ

Po drzewnej Wood Essence, lodowatej Glasier Essence i ziemistej Terrae Essence powstała Rain Essence. Bvlgari Man tworzy serię potęgi żywiołów. Ostatni zapach jest świeży, drzewno-piżmowy, ożywczy, mineralny, ambrowy (100 ml / 669 zł).





JEDEN Z TWOICH EKOLOGICZNYCH NAWYKÓW



- 69% Polaków uważa, że stan środowiska zależy w największym stopniu od każdego z nas, 21% wymienia działania rządu, zaś 8% wskazuje na odpowiedzialność biznesu*.
- Tymczasem Frosch bierze odpowiedzialność za środowisko już od 1986 roku i konsekwentnie wprowadza rozwiązania zmierzające do całkowicie zrównoważonej produkcji.

*Badanie świadomości i zachowań ekologicznych mieszkańców Polski, Ministerstwo Klimatu i Środowiska, 2020



naturalne składniki aktywne - Formuła Zielonej Siły



roślinne związki powierzchniowo-czynne



maksymalnie przyjazne dla skóry rąk



mikroplastiku, formaldehydu, EDTA i związków halogeno-organicznych



cel: zamknięty obieg opakowań 100% z i do recyklingu



bez składników pochodzenia zwierzęcego



odnawialne źródła energii w miejscu produkcji



uzdatnianie wody w miejscu produkcji



ekologiczny pionier już od 1986 r.



MÓJ EKOLOGICZNY WYBÓR.



Latanie na rowerze

Od kilku lat w ten sport zaczyna wchodzić coraz więcej kobiet. Skaczą, robią triki. W zeszłym roku pierwsza kobieta wykonała salto do przodu

Z SZYMONEM GODŹKIEM, WICEMISTRZEM ŚWIATA WE FREERIDZIE, ROZMAWIA MAGDALENA WARCHALA-KOPEĆ

j

Jako mały chłopiec szalałeś na rowerze?
Szaleliśmy razem z bratem. Jeździliśmy na jednym kółku albo skakaliśmy z kra-

wężników. Zrobiło się poważniej, dopiero gdy miałem 16 lat, a mój brat 13. To właśnie on wyprosił od rodziców pierwszy profesjonalny rower do skoków. Wtedy zaczęliśmy szukać gór w lasach, bo potrzebowaliśmy zjazdów, na których nabierzemy prędkości. Próbowaliśmy kopać i usypywać pierwsze skocznie. Zaczęliśmy latać na rowerach.

Rowerzysta uprawiający MTB freestyle musi chyba być trochę inżynierem, żeby wiedzieć, jaką przeszkodę wykopać albo usypać, aby polecieć tak, jak chce, i się nie poturbować?

Trzeba mieć wyobraźnię, przydaje się też doświadczenie, żeby wiedzieć, jakie kąty wykopać. Jeśli wykopię za ostre wybiecie,

pełn wyrzuci mnie do przodu i od razu polecę przez kierownicę.

Chodzisz w takim razie z miarką, rysujesz plany?

Wszystko robię na wycucie. Wykorzystuję ukształtowanie terenu, który mam do dyspozycji, żeby było jak najmniej pracy, ale najlepszy efekt.

Jakie były twoje początki w profesjonalnym sporcie?

Od samego początku wiedzieliśmy z bratem, że chcemy być zawodnikami, więc dużo trenowaliśmy i jeździliśmy na każde zawody w okolicy. Na początku to były Żory, Katowice. Szło nam źle, ale zbieraliśmy doświadczenie.



Byliście samoukami? Nie mieliście trenera, zespołu?

Do tej pory nie mamy trenera. W tym sporcie to normalne, że każdy ćwiczy sam, sam zdobywa doświadczenie. Dopiero teraz zaczyna się to trochę zmieniać, bo MTB freestyle staje się coraz popularniejszy i rodzice szukają trenerów, którzy mogliby uczyć ich dzieci. Powstają szkółki, w których profesjonalni zawodnicy przekazują maluchom swoje doświadczenie.

Jak zatem wyglądają treningi, które sam sobie organizujesz? Jak wygląda twój dzień?

No właśnie to jest totalny freestyle! Jestem uzależniony od pogody. Na przykład wczoraj był jedyny dzień w tym tygodniu, kiedy nie padało. Widząc prognozy, od razu zaplanowałem ostry trening. Chcieliśmy wykorzystać okazję, dlatego zrobiliśmy aż trzy sesje treningowe: dwie na rowerze i jedną na motorze. Wcześniej musieliśmy poreperować wszystkie skocznie po zimie. Zajęliśmy się tym z czteroosobową ekipą chętnych. Nigdy nie jest tak, że mam ułożony plan na cały tydzień. Trenuję wtedy, gdy jest dobra pogoda. Kiedy pada, idę na siłownię.

W ciągu roku dzieje się dużo. Często wyjeżdżasz.

Biorę udział w różnych zawodach. Przez cały rok zbieram punkty i walczę o zaproszenie na finałowe zawody Pucharu Świata w sloopstyle'u, ekstremalnej i widowiskowej odmianie MTB freestyle. Oprócz tego jeżdżę na zawody w dyscyplinie freeride, które odbywają się m.in. w Afryce. Jedziemy tam na tydzień po to, żeby wstrzelić się w idealne warunki pogodowe. Latanie na rowerach jest jak surfowanie. Jeśli nie ma wiatru, to się nie lata. Na zawodach we freeridzie

ukształtowany teren - skaczemy nad kaniem. Zwykle przyjeżdżamy na miejsce dzień przed finałami i sami musimy sobie wykopać własną trasę. To jest też ciężka praca fizyczna i umysłowa. Trzeba wszystko dobrze zaprojektować, a później przetestować. Najbardziej niebezpieczny jest pierwszy zjazd, kiedy muszę dobrać właściwą prędkość. Gdy już raz spróbuję albo ktoś inny skoczy i mi powie, z jaką prędkością jechać, to już wiem, co zrobić, żeby wylądować tam, gdzie planuję. Ale właśnie ten pierwszy raz jest najtrudniejszy.

Z jakich sportowych osiągnięć jesteś najbardziej dumny?

Z zeszłorocznego tytułu wicemistrza świata we freeridzie właśnie na Red Bull Rampage. Następną

edycja odbędzie się w październiku i jestem zmotywowany, żeby walczyć o złoto. Mam też na koncie kilka trików, które wykonałem jako pierwszy. Zaczęło się w 2013 roku, kiedy na rowery MTB w sloopstyle'u przeniosłem trik z BMX-ów - cashroll. Teraz jest bardzo popularnym trikiem, ale wtedy go nikt nie robił i dał mi dużo wygranych. Trik ten wygląda tak, że robisz dwa obroty przez bark.

Po narodzinach Tosi

moja motywacja wzrosła.

Dostałem pozytywnego kopa.

Miałem supersezon

próbujemy skakać z ponad 30-metrowych skoczni, robić salta, bić rekordy. Odbywają się też różne większe i mniejsze festiwale w Europie, w Nowej Zelandii, w Australii, w Kanadzie. Na koniec sezonu odbywają się najważniejsze dla mnie zawody - Red Bull Rampage, czyli mistrzostwa świata we freeridzie w Stanach Zjednoczonych. Organizowane są w stanie Utah, gdzie jest idealnie

Takie salto do przodu z obrotem o 360 stopni. Drugim trikiem, z którego jestem dumny, jest backflip tsunami z 2014 roku. Od zawsze fascynowałem się freestyle motocrossem i próbowałem przenosić na rower te triki, które mi się podobały, i to jest właśnie jeden z tych trików. Po raz pierwszy wykonałem go w Norymbberdze na dużych zawodach, w których wygrałem w kategorii Best Trick.

Występowałeś w serii filmików „Power of Mind”, w których opowiadasz, że MTB freestyle wymaga nie tylko sprawności fizycznej i wiedzy inżynierskiej, ale też siły psychicznej. Mówisz, jak ważny jest psychiczny balans, odpuszczenie, kiedy się ma gorszy dzień. To przesłanie, które stosujesz w ogóle w życiu czy tylko w sporcie?

Możesz iść na trening i cały czas ćwiczyć najtrudniejsze triki, ale jeśli nie masz motywacji, lepiej zajmij się czymś innym. Kiedy jestem znudzony skokami, czuję, że muszę coś zmienić, wybieram się pojeździć sobie po górach albo wsiadam na motocross. A kiedy jestem zmęczony, odpoczywam. Tak samo w życiu coraz większą wagę przykładam do troski o swój dobrostan, o swój organizm. Czasami trzeba się sprężyć do działania, a czasami po prostu wziąć wolne.

Czy odkąd jesteś ojcem, zacząłeś sobie bardziej odpuszczać?

Wręcz przeciwnie. Po narodzinach Tosi moja motywacja jeszcze wzrosła. Dostałem pozytywnego kopa, miałem wtedy naprawdę supersezon.

Tosia ma teraz sześć lat. Chce jeździć tak jak tata?

Zdarza jej się jeździć na rowerze, ale to wcale nie jest tak, że chce iść na rower codziennie czy zjeżdżać z górki, choć trochę próbowała. Gdy była mniejsza, jeździła ze mną w siodelku mocowanym na ramie, ale oczywiście na łagodnych trasach. Lubi za to jazdę Cuprą Formentor. Widać, że kółka jej w głowie. Przyszłość pokaże, czy będzie to jednośląd czy jednak cztery koła.

Chciałbyś, żeby kiedyś złapała bakcyła? Czy może uważasz, że to zbyt niebezpieczna dyscyplina?

Chciałbym, żeby Tosia poszła w moje ślady. Cieszę się, że od kilku lat w ten sport zaczyna wchodzić coraz więcej kobiet. Skaczą, robią triki. W zeszłym roku pierwsza kobieta wykonała salto do przodu. Na Red Bull Rampage jest już osobna kategoria dla kobiet. W Pucharze Świata w sloupstyle'u też lada moment ma się pojawić taka kategoria. Mamy w Polsce kilka obiecujących zawodniczek. Moim zdaniem największy poten-



SZYMON „SZAMAN” GODZIEK

(ur. 1991) – zawodnik ze światowej czołówki specjalizujący się w ekstremalnym freestyle'u MTB i freeridzie. Uczestnik zawodów District Ride w Norymbberdze i Red Bull Rampage w Utah. Jako pierwszy na świecie wykonał takie akrobacje, jak cashroll czy tsunami backflip, uznawane za jedne z najtrudniejszych i najbardziej widowiskowych w tym sporcie. W październiku 2022 r. zdobył drugie miejsce na najbardziej kultowych i ekstremalnych zawodach w kolarstwie grawitacyjnym na świecie – Red Bull Rampage. Za przejazd zdobył również nagrodę publiczności. Jest ambasadorem marki CUPRA w Polsce

cjał ma Natalia Niedźwiedz, która od kilku lat ściga się na BMX-ach, a oprócz tego skacze. A doskonalenie tych dwóch aktywności oznacza, że poradzi sobie w każdych warunkach. Myślę, że w ciągu dwóch, trzech lat zobaczymy ją na podium na europejskich zawodach.

Co powinien zrobić rodzic, który chciałby, aby jego córka lub syn trenowali taki sport?

Warto zapisać dziecko do jednej ze szkółek, które, jak już wspomniałem, zaczęły się ostatnio pojawiać w różnych miastach. Pomogą one dziecku wyrobić dobre nawyki, bo tych złych raz nabytych później bardzo trudno się wyzbyć. Polecałbym także zajęcia z parkuru, aby nauczyć się bezpiecznie wywracać. Sam właśnie tak zaczynałem. Umiejętność wywracania się jest bardzo potrzebna, bo pomaga ograniczyć liczbę kontuzji. Upadki zdarzają się na rowerach bardzo często i mały błąd może skutkować dużymi konsekwencjami.

Jakie najpoważniejsze kontuzje ty odniosłeś?

Chyba kontuzja prawego kolana była taką najcięższą, z której najdłużej wychodziłem. Miałem uszkodzone więzadło krzyżowe i łąkotkę. To zdarzyło się w czasie treningu przed pokazami. Rehabilitacja trwała ponad pół roku. Ale takie wypadki też dużo dają

zawodnikowi. Ta kontuzja nauczyła mnie przede wszystkim dbania o swój organizm. Zmieniłem sposób odżywiania, doceniłem odpoczynek. Gdy wróciłem na treningi, stałem się silniejszy niż przed kontuzją.

Jesteś bardzo zaangażowany społecznie. Wspierasz różne fundacje, bierzesz udział w charytatywnych wydarzeniach, zachęcasz do bycia dawcą szpiku. Zamierzasz też otworzyć własną fundację.

Uważam, że sportowcy powinni się angażować w tego typu działania. Skoro mamy możliwości, powinniśmy wspierać innych, promować dobre postawy. W przyszłości chciałbym wspierać przede wszystkim edukację dzieci, które chcą związać swoją przyszłość z MTB freestyle'em. Mieszkam 20 minut drogi od góry Ślęży, która jest słabo zagospodarowana, jeżeli chodzi o MTB. Chciałbym razem z samorządowcami to zmienić i stworzyć miejsce do szkolenia przyszłych mistrzów. W Polsce nie ma jeszcze takiego profesjonalnego ośrodka jak np. w Skandynawii, która ma szkoły mistrzostwa sportowego skupiające się na szkoleniu dzieci do wyczynowej jazdy na rowerach. Stąd myśl o fundacji. To jednak jeszcze bardzo dalekie plany.

Masz plany na sportową emeryturę?

W tym roku skończę 32 lata i czuję, że mam najlepszą formę w całym życiu. Szczytu formy spodziewam się około czterdziestki. Doceniam dojrzałość. Do 25. roku życia w ogóle nie przypominałem sportowca. Wtedy jeździłem po prostu z ziomkami na rowerach, pomimo że już wygrywałem na zawodach. Teraz traktuję to wszystko poważniej. Na pewno do czterdziestki zamierzam jeździć na rowerze. Potem może zmienię dyscyplinę na freestyle motocross? Kiedy przeprowadzimy się do nowego domu, ten, w którym teraz mieszkamy, zostawimy sobie jako dom gościnny. Zamierzam organizować tu jazdy dla profesjonalistów, na których będziemy wspólnie trenować. Kiedyś być może zajmę się trenowaniem dzieci. Ale na razie o tym nie myślę. Najpierw sam muszę spełnić się jako sportowiec, a do pełnego spełnienia jeszcze dużo mi brakuje.

Freestyle MTB znalazł się teraz w przełomowym momencie, w którym gwałtownie przekraczamy kolejne granice. Gdy zaczynałem przygodę z tym sportem, skocznie były dużo niższe i systematycznie się wydłużały, ale pozostawały dość płaskie. Obecnie zaczynają piąć się w górę, co pozwala na osiągnięcie lepszej paraboli lotu do trików. Jest jeszcze sporo trików, których nikt dotąd nie wykonał. Chcę być jednym z pierwszych gości, którzy wskoczą na ten nowy poziom. ♦

Świst deadline'u

I R E N A
C I E Ś L I Ń S K A



Kocham nieprzekraczalne terminy. Uwielbiam świst, jaki wydają, kiedy mnie mijają” (Douglas Adams).

Środek maja, środek tygodnia, duże i bardzo zajęte miasto - Warszawa. Już wybudzeni po wakacji mieszkańcy biegają, krzątają się i walczą o przyszłość. Wszyscy bardzo zajęci. Krzątają się podobnie jak inni. Też jestem śmiertelnie ważna, śmiertelnie poważna i śmiertelnie zajęta. Gdzieś biegnę przez miasto w kwestiach niecierpiących zwłoki. Potrąca mnie facet w koszulce z napisem „Jestem zarobiony. Pozwól, że zignoruję Cię jutro”. Jakże prawdziwe, przebiega mi przez myśl. Biegnę dalej, żeby zdążyć przeskoczyć na drugą stronę Marszałkowskiej, ale widzę, że nie zdążę, światło zmienia się na czerwone, rzadko kiedy dają radę przejść przez podwójną ulicę w moim mieście w czasie jednych świateł, no, ale przecież są wysepki na środku. Staję na wysepce i nagle czas nieoczekiwanie zwalnia i miasto zwalnia. Tramwaj, który ruszył właśnie z przystanku, też zwalnia i się zatrzymuje. Drugi, jadący z naprzeciwka, już stoi i blokuje watahę samochodów, która właśnie miała wdrzeć się na skrzyżowanie. Wszystko się zatrzymuje, bo po pasach drepce bardzo powoli i bardzo nieporadnie starsza pani.

Robi małe kroki, niepewnie i chwiejnie. Z boku otacza ją ramieniem młody facet, dobrze, że tam jest, bo pewnie gdyby była sama, już by ktoś ją zbeształ. A tak tylko trąbią. To znaczy tramwaje dzwonią, a samochody trąbią.

Kompletnie bez sensu, bo przecież starsza pani nie uniesie się na ramionach aniołów do nieba i nie zniknie z przejścia. Musi dotrzeć na wysepkę, trąbią czy nie, chociaż kiedy nagle robi się tak głośno, starsza pani się zatrzymuje, spłoszona i skonfundowana. Młody facet cierpliwie czeka, skrzyżowanie gotuje się ze zniecierpliwienia - wszystkie niecierpiące zwłoki sprawy będą musiały odbyć się 34 sekundy później.

34 sekundy później świat nadal istnieje, starsza pani dotarła na wysepkę pośrodku jezdni, młody gość, który ją prowadził, pyta: „Poradzi sobie pani dalej?”. Czmycha rączko pod prąd, zgrabnie wymijając samochody. Nie jest, jak się okazuje, wnukiem, jest samarytaninem. Ona drepce teraz w kółko, dookoła swojej osi, i raczej sobie nie poradzi. Teraz moja kolej: jaki tramwaj, dokąd tramwaj, poczekać i wejść do tramwaju.

A dookoła już jak wcześniej miasto pędzi i wrze gorączkowymi, najpilniejszymi deadline'ami.

Szybkość. Tempo. Pośpiech. Tak się teraz żyje! W pędzie, pod ciśnieniem. Szybkość to postęp i nowoczesność. Powolność, nieporadność - niech gina nieporadni! Nikt nie przysiadł na ganeczku, kontemplując skąpane w słońcu, uginające się pod ciężarem owoców gałęzie czereśni. Z ręką na sercu: kiedy ostatnio nic nie robiłaś? Czy w ogóle potrafisz nic nie robić? Czy wobec braku presji czujesz nieokreślony niepokój i sięgasz po telefon, żeby „zabić czas”? Jak szybko zaczniesz się irytować (lub przeskoczysz do Mety), jeśli nie obsługują cię dość sprawnie w sklepie?

Oszczędność czasu to nasz fetysz i krwiożerczy bożek. Wycinamy właśnie 200 hektarów lasu w okolicach Choszczówki i Legionowa, by odcinek do Warszawy pociągi mogły pokonywać z prędkością 250 zamiast 110 km/godz. Dzięki temu podróżni dotrą do stolicy... całe pięć minut wcześniej. Co zrobimy z tymi pięcioma minutami?

Naukowcy mierzą tempo życia, obserwując prędkość poruszania się pieszych w centrach miast, czas obsługiwanie prostych zleceń, jak sprzedaż znaczka na pocztę (badania rozpoczęły się jeszcze w XIX w. i nikt nie podejrzewał wówczas, że zarówno poczta, jak i znaczki niebawem odejdą do historii), oraz dokładność zegarów publicznych. W dużym ogólnościowym porównaniu z końca XX w. Polska (dane zbierano we Wrocławiu, w Łodzi, Poznaniu, Lublinie i Warszawie) zajęła wysoką 12. lokatę - po Japonii (pierwsze miejsce) i krajach Europy Zachodniej.

Tempo życia jest szybsze w krajach wysoko rozwiniętych i w miejscach o chłodnym klimacie. Kraje ludzi spieszących się

Wszystko się zatrzymuje, bo po pasach drepce bardzo powoli i bardzo nieporadnie starsza pani

są bogatsze i bardziej produktywne. Jaką cenę płacą za to ich mieszkańcy? Presja czasu, konieczność wykazywania się i wysoka konkurencja zwiększają poziom agresji. „Zabiegani” częściej i więcej palą i częściej umierają z powodu niedokrwiennej choroby serca. Mimo to - w co trudno uwierzyć - są bardziej zadowoleni z życia od żyjących wolniej.

Jak to się u licha dzieje, że im bardziej rozwinięta okolica, tym wyższe tempo utrzymują jej mieszkańcy? W końcu technologie powstają zwykle po to, by oszczędzić czas - szybciej wykonywać zadania i szybciej się porozumiewać. Sto lat temu podróż z Europy do Ameryki zajmowała trzy tygodnie statkiem, dziś samolotem trwa kilkanaście godzin. Jeśli pojawia się w Ameryce wcześniej, gdzie znikają te uwolnione przez technologię trzy tygodnie? Zapewne przeznaczam je na pracę (trzeba zarobić na wynalazki oszczędzające czas!). Zgodnie z prawem Parkinsona praca rozszerza się tak, aby wypełnić czas dostępny na jej ukończenie.

A może odczucie braku czasu bierze się stąd, że czas wolny nie jest wcale tak wolny? Wypełnia go szalony pośpiech, aby być na bieżąco z wydarzeniami, przeglądaniem internetowych pogawędek, filmików, obrazków i rzeczy do kupienia? Pospiesznie budujemy cywilizację, w której już niedługo nie zdołamy przejść na drugą stronę ulicy. ♦

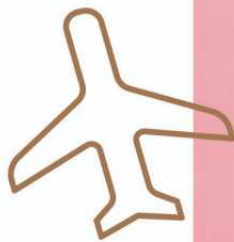
Irena Cieślińska - dziennikarka, popularyzatorka nauki, racjonalistka



aelia
DUTYFREE



Prosto z lotniska



ZESKANUJ MNIE

Teraz perfumy i kosmetyki w AELIA.PL
kupisz online z szybką dostawą do domu.

10% stałego rabatu na cały, nieprzeceniony
asortyment w sklepie AELIA.PL

z aplikacją **kamele@n.**

programkameleon.pl

jeden program, wiele korzyści